

Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 1470502736
KRS 00000 411
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

MEMORIAŁ

General Marii Wittek



AK
Wilno

MACKIEWICZ Krystyna
zam. Straczycka
ps. "Krystyna"

4079/MSK
1

SPIS ZAWARTOŚCI TEGZKI — 4079/WSK

MACKIEWICZ Krystyna.

Zam. Strażycyka p.s. Krystyna

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 — relacja właściwa

I/2 — dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

I/3 — inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 25, s. 1-45

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 — dot. rodziny relatora

III/2 — dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 — dot. ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III/4 — dot. ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 — Inne...

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

.....

V. Wypisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”) ✓ 2

VI Fotografie ✓ ksero 2 szt. pkt. 4, s. 25, 45

II Materiały uzupełniające relację

- Losy - ze wspomnień Krystyny i Teodora Straczyklich, Kętrzyn 1995, k. 24, s. 1-44
- wspomnienie K. Straczyklicz z d. Mackiewicz, przedruk z wydawnictwa „Losy” - ze wspomnień --- [b.d.]
- Krystyna Mackiewiczówna - Straczycka „Krystyna” [w:] „tańczniczki”, red. Jan Malinowski [b.d.], k. 1, s. 45 oraz duplikat



II/1

FUNDACJA
GENERALKI
ELŻBIETY ZAWACKIEJ

LOSY

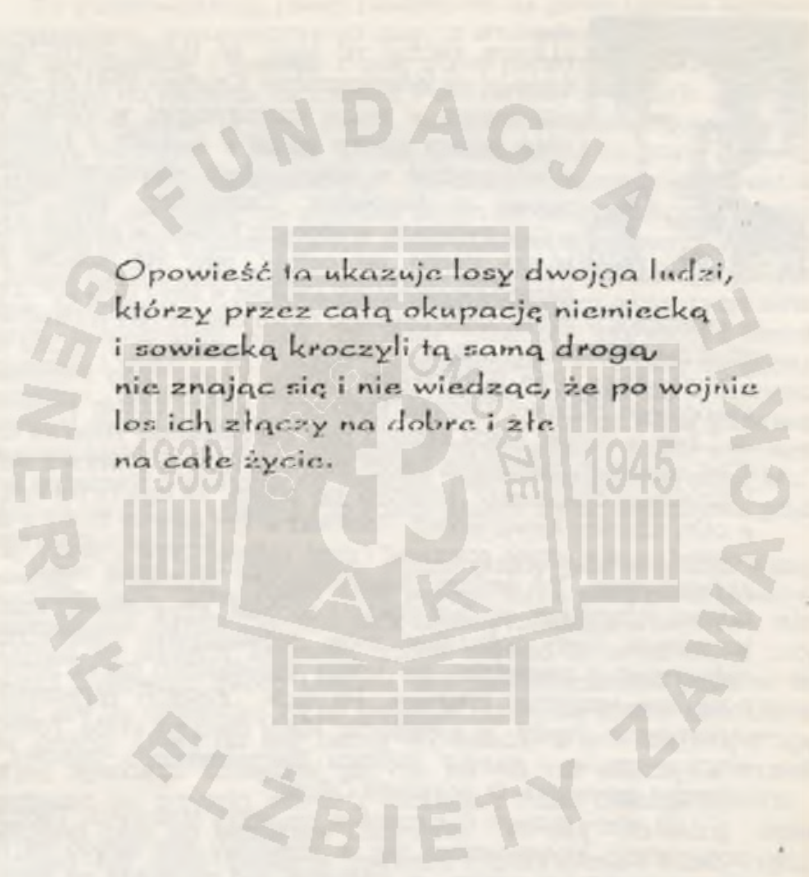
1939

1945

ze wspomnień
Krystyny i Teodora
Straczyckich

Kętrzyn 1995

11/2



Opowieść ta ukazuje losy dwojga ludzi,
którzy przez całą okupację niemiecką
i sowiecką kroczyli tą samą drogą,
nie znając się i nie wiedząc, że po wojnie
los ich złączy na dobre i złe
na całe życie.

*Wspomnienia te poświęcamy
naszym synom i wnukom,
aby kochali tak swoją Ojczyznę,
jak kochali ją
ich ojcowie i dziadkowie.*



Muszę zacząć od tego, że byłem żołnierzem Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Od roku 1941 do roku 1943 pracowałem w siałce konspiracyjnej w Wilnie. W roku 1944 brałem czynny udział w walkach z Niemcami na Wileńszczyźnie w następujących miejscowościach: akcja bojowa o Murowaną Oszmiankę, pod Korabami w Grauzszkach, w zdobyciu Krewa i w zdobywaniu Wilna. Muszę trochę się cofnąć, gdyż nie sposób pominąć takiego incydentu jaki zaistniał w 1943 roku podczas pracy w konspiracji w Wilnie. Ołóż pewnego ranka obudził nas przeraźliwy łomot do drzwi, mieszkałem wtedy przy ul. Lwowskiej nr 7 m.3 u państwa Sierosławskich. Pan Sierosławski, główny lokator tego mieszkania, był zawodowym oficerem Wojska Polskiego i w tym czasie znajdował się na Litwie w obozie. Kiedy służąca pani Sierosławskiej Helena otworzyła drzwi, wpadło do mieszkania dwóch Niemców i dwóch Litwinów z okrzykiem: - "Szykować dokumenty" (okazało się potem, że tego ranka była oblawa w całej dzielnicy kałwaryjskiej). Ponieważ w tym okresie każdy z obywateli polskich musiał gdzieś pracować i mieć zaświadczenie z pracy, ja miałem zaświadczenie, że jestem dogorywającym gruźlikiem. Zaświadczenie takie otrzymałem od pani doktor Łobzowej, która również należała do konspiracji. Kiedy pokazałem moje zaświadczenie Litwin schował je natychmiast i powiedział, że takich zaświadczeń ma już pełną teczkę i są one wszystkie fałszywe. Po tych słowach przystąpiono do wykonywania rewizji w mieszkaniu. Kiedy otworzyli szafę, zobaczyli tam wiszącą czapkę i mundur kapitana Sierosławskiego. Niemiec, gdy to zobaczył, krzyknął: "O, polnische Offizier."

Ja wtedy miałem dokument na nazwisko Malinowski Tadeusz i tym dokumentem legitymowałem się, a prawdziwy mój dowód na nazwisko Straczycki leżał w szafce w szufladzie pod papierami na samym dole. Kiedy oni byli zajęci przewracaniem papierów w szufladzie, ja w obawie że znajdą mój dokument na prawdziwe nazwisko, wykorzystałem moment i dałem nura do kuchni, aby przez drzwi kuchenne wybiec na podwórko. Niestety drzwi były zamknięte na klucz. Pomimo krzyku "ha!!" wykręciłem do drzwi frontowych, a ponieważ schody były kręte przewróciłem się i dobrze, że tak się stało, bo na dworze przy drzwiach frontowych stał żołnierz z automatem w ręku gotowym do strzału i prawdopodobnie byłby mnie zastrzelił. Skopano mnie na schodach w brutalny sposób i po wciągnięciu do mieszkania założono mi kajdanki i postawiono twarzą do ściany, a w między czasie podchodził Litwin uderzał w głowę łak, że ja za każdym razem uderzałem czołem w ścianę, a on krzyczał: "Mów, jaki miałeś pseudonim."

Po przeprowadzonej rewizji założono mi na głowę czapkę kapitana Sierosławskiego, wprowadzono na ulicę, za chwilę doprowadzono do mnie panią Sierosławską i Helenkę i całą trójką popędzono środkiem ulicy Kałwaryjskiej do więzienia na Łukiszki. Panie wróciły z więzienia do domu bodajże po tygodniu, ja jeżeli dobrze pamiętam siedziałem cały miesiąc i zostałem zwolniony - jak się później dowiedziałem - za grubą łapówkę. Wykupili mnie siatka konspiracyjna - nie dlatego, że byłem jakąś ważną figurą, bo nią nie byłem, ale w obawie zebym się na zalał przy badaniu i nie synął reszty pracowników KS. Kiedy wróciłem z więzienia poradzono mi, zebym na jakiś czas zmienił miejsce swojego zamieszkania, motywując to tym, że mogę być pod obserwacją, a jeżeli nie mam gdzie, to oni mnie ulokują. Powiedziałem wtedy, że mam gdzieś, brat mój wrócił z niewoli niemieckiej i siedzi na swoim gospodarstwie - pojedę do domu. Zostałem adres dla KS, a sam pieszo udałem się w kierunku Oszmiany. Kiedy znalazłem się w Rukojniach, 16 km od Wilna podarłem dokument Malinowskiego i zakopałem, a Straczyckiego dowód wyprułem spod podszewki i włożyłem do kieszeni. Kiedy dobrałem do domu, brat z bratową bardzo się ucieszyli i po kolacji udałem się na odpoczynek, gdyż byłem nieco zmęczony.

Rano ledwo świt usłyszałem bardzo głośny gwar w pokoju. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem obok mojego łóżka pełny pokój Litwinów z automatami w rękach. Zakuto mnie w kajdany i zawieziono do Krewa, tam wsadzono do jakiegoś składziku, trudno nazwać to aresztem, a przy drzwiach postawiono dwóch Litwinów. Brat mój natychmiast pojechał do Krewa, aby się dowiedzieć za co jestem aresztowany i kiedy ewentualnie mnie zwolnią. Litwini nie dali żadnej odpowiedzi, a brat okrężną drogą poprzez aptekarza dowiedział się, że oni nic nie wiedzą, a musieli aresztować bo przyszło pismo z Gestapo z Wilna. Następnego dnia odwieziono mnie do więzienia w Oszmianie. W celi, do której mnie wsadzono byli sami sowieccy żołnierze złapani w lesie z bronią w ręku. Ja systematycznie każdego czwartku otrzymywałem z domu obfitą paczkę żywnościową. Kiedy dostarczono mi taką paczkę wszystkie oczy "pajców" były skierowane na mnie. Rozdziałem przeważnie zawartość takiej paczki wśród tych głodujących żołnierzy. Muszę się przyznać, że nie robiłem tego z wielkiej miłości do Ruskich, ale po prostu w ogóle nie chciało mi się jeść. Byłem bardzo zdenerwowany, zdawałem sobie sprawę, że jeśli wczoraj zwolniono mnie w Wilnie na Łukiszkach jako Malinowskiego, a teraz przywożą na drugi dzień jako Straczyckiego - to każdy ślepiec pozna człowieka, dlatego oddawałem te paczki, a sam modliłem się będąc pewny, że teraz już na pewno będzie z mną koniec. W Oszmianie nikt mnie nie badał, bodajże po tygodniu przewieziono mnie do Wilna na ulicę Ofiarną, gdzie urzędowało Gestapo i zostawiono w dużym pokoju. Nikt mnie pozornie nie pilnował i drzwi na korytarz były lekko uchylone.

Po pewnym czasie, kiedy tak siedziałem w tym dużym pokoju i rozmyślałem, usłyszałem lekkie kroki na korytarzu, patrzę i wdzę przez lekko uchylone drzwi, że ktoś spaceruje po korytarzu. Poznałem - był to pan Duliewicz mieszkający we wsi Rakowce obok naszego folwarku. Ten pan Duliewicz, kiedy sowici weszli na nasze ziemie natychmiast zrobił się czerwony i był na ich usługach. On się przyczynił do wywiezienia moich rodziców na Sybir, przez niego siedział mój brat, przez niego siedział starszy syn Dobrzyńskich, a kiedy wkroczyli Niemcy, natychmiast zmienił miejsce zamieszkania i przekształcił się na konfidenta niemieckiego. Gdy go ujrzałem, natychmiast się zorientowałem, że to jego robota, a przywieźli go do Gestapo po to, aby przyrzekł się i potwierdził czy to ta sama osoba, na którą pisał donos. Donos napisał głupio, jak to prosty nieokrzesany chłop. Napisał, że widział mnie przedtem jak byli sowici, pijącego wódkę z oficerami ruskimi, że widział mnie jak rozpałiałem ognisko, aby dać znak do lądowania sowieckiego samolotu i podobne bzdury. Ja dziękowałem Bogu, że nie przyszło mu na myśl napisać coś o konspiracji, ale na to on był za głupi. Tego samego dnia przewieziono mnie do więzienia na Łukiszki, wsadzono do pojedynczej celi i siedziałem tam chyba dwa tygodnie i nikt mnie nie badał. Pewnego dnia wszedł "barbos" do celi i powiedział: *"Sabirajsia z wieszczami"* (dozorcy więzienni zawsze rozmawiali po rosyjsku, obojętnie za jakiej okupacji, czy to było za Ruskich, czy za Niemców). Kiedy wyszedłem z celi patrzę, a na korytarzu w szeregu stoi duża ilość ludzi, dołączysz do szeregu pytam jednego co on za jeden, a on na to: *"Ja Jewrej (Żyd), pytam drugiego, który stoi z przodu, a on mówi: "Ja Ruski z aruzjem w lesu pajmany" (Sowieci złapani z bronią w lesie). Pomyślałem sobie, że w ładne towarzystwo trafiłem. Kiedy podszedłem do stolika, przy którym siedział Litwin i coś tam odnotowywał, i kiedy powiedział że mogę już odejść - powiedziałem, że tu mi zabrano zegarek i wieczne pióro, prosiłbym o zwrot, a on na to: *"Tam țiebie nie nado budief"* (Tam nie będą ci potrzebne). Po tym oświadczeniu zaprowadzono mnie do innego pokoju, gdzie siedziało dwóch Niemców i jeden Litwin. Gdy tylko wszedłem do pokoju Litwin od razu uderzył mnie w twarz krzycząc: *"Mów swój pseudonim, uderzył mnie drugi raz krzycząc: "Co robieś mam żadnego pseudonimu, uderzył mnie drugi raz krzycząc: "Co robieś w Mińsku, co robieś u księdza Świerczewskiego?"* Otóż faktycznie spotkał mnie pan Duliewicz jak jechałem rowerem z Wilna do Oszmiany, ale nie rozmawialiśmy ze sobą pomimo, że mnie dobrze znał. Od razu pomyślałem sobie, że może mi teraz narobić brudu. Ja po przekroczeniu granicy rosyjsko-litewskiej 1-go stycznia 1940 roku miałem skierowanie zgłosić się w Wilnie na ulicę Dominikańską do księdza Kuleszy. Był on bratem pani Łokucjewskiej, naszej sąsiadki mieszkającej w majątku Choćki. U księdza Kuleszy było już pełno uchodźców i dlatego mnie skierowano do księdza Świerczewskiego.*

Tam był mój pierwszy meldunek w Wilnie, potem za czasów niemieckich ksiądz Świerczewski został rozstrzelany przez Litwinów na Ponarach. Najprawdopodobniej w książkach meldunkowych znalazłby moje pierwsze zamełdowanie z 1940 roku i stąd było to pytanie, co robiłem u księdza Świerczewskiego. Po kilkakrotnym jeszcze uderzeniu przez Litwina, kiedy do niczego się nie przyznawałem zaprowadzono mnie do tak zwanej "cyganki" - tak się nazywała cela na samym dole piwnicy, skąd wywozono skazańców na rozstrzelanie. Cela była już pełna ruskich żołnierzy. Nie upłynęła może jedna godzina, jak drzwi się otworzyły i wszystkich tłukąc kolbami wygnano w barbarzyński sposób na podwórko więzienne. Tam był przygotowany kryty samochód, do którego kazano nam wskakiwać. Po załadowaniu, dwóch Niemców usiadło w kabinie, a czterech Litwinów z automatami gotowymi do strzału usiadło z tyłu samochodu na ławce, blokując nam ucieczkę, gdyby komu przyszło to do głowy. Kiedy samochód ruszył sowici podnieśli gwałt, płacz i krzyk. Wyrwali sobie włosy z głowy krzycząc: *"Mamoczka, zaczoł mienia radzila."* (Mamo po co mnie urodziłaś). Ja, widząc że to już koniec, ukląknęłam i zacząłem głośno się modlić. Znałem i znam do dzisiaj piękną modlitwę do św. Tadeusza i tam są między innymi takie słowa: *"...jeżeli śmierć cię nagła goni święty Tadeusz i od niej obroni..."* I proszę sobie wyobrazić, staje się cud. Tak, prawdziwy cud. Kiedy tak zarliwie i głośno się modliłem na kolanach, siedzący z przodu Niemiec odsuwa szybę w samochodzie i zwracając się do mnie mówi: *"A ty za co?"* Ja na to, że ja nic nie wiem, mnie nikt nie badał, a Niemiec na to: *"Du bist kommunist" (Ty jesteś komunista); ja mówię: "Jaki ja komunista, rodzice wywiezieni na Syberię, komunistki rozgrabili cały nasz majątek, ja uciekłem od komunistów do Wilna." Chyba Pan Bóg mnie wspomagał, szprechałem po niemiecku jak stary szkop, a Niemiec na to: "Prawdę mówisz, bo będzie jeszcze gorzej. Po tych słowach kaze zawrócić samochód, który wiozł nas na Ponary z ulicy Legionowej, podjeżdża na ulicę Ofiarą pod Gestapo, mnie jednego wysadzają i prowadzą do celi, a resztę wiozą na Ponary. W celi na przyczy zauważyłem świeżo zakrzepłą krew. Nastąpiły długie i beznadziejne noce i dni. Przez zewnętrzne ściany i okute drzwi od korytarza, przeważnie w nocy slychać było rozpaczliwe krzyki: "Jezu ratunku, mordują". W takich warunkach przesiedziałem chyba dwa tygodnie, modliłem się i mówiłem: "Boże, dłażego mnie wtedy nie zastrzelili, teraz będą mordować". Z nikąd ratunku i żadnej wiadomości, w celi siedziałem sam i oczekiwałem na śmierć. Do jedzenia przynoszono z Łukiszek kocioł kawy - otrzymywałem rano kubek kawy i jedną małą kromkę chleba, to była racja żywieniowa na cały dzień. Po dziesięciu dniach jak wstawiałem, to musiałem trzymać się ściany, taki byłem osłabiony.*

Pewnego dnia wchodzi do celi "barbos" i mówi: *"Sabirajsia pajdzjom wmieście"* (Wstawaj pójdziemy razem). Podniosłem się, wlokę się przed

1/7

nim trzymając się ściany, prowadził mnie na pierwsze piętro, a ja dalej myślę: -*Boże czemu mnie wtedy nie zastrzelili!*". Wchodzimy - duży pokój, piękne meble, puszyste dywany na podłodze, przepiękne żyrandole, za biurkiem siedzi oficer niemiecki, chyba kapitan, albo major. Kiedy powiedziałem wchodząc: -*"Dzień dobry"*, oficer odpowiedział: -*"Guten Morgen"*. Zdziwiłem się bardzo, gdyż przeważnie przy wejściu biło po twarzy, tymczasem oficer mówi dalej: -*"Setzen Sie"*, otwiera piękny porcygar: -*"Bitte rauchen Sie"* (Proszę, czy pan pali) wskazuje ręką - tutaj siedzi tłumacz, czego pan nie będzie rozumiał, proszę pytać. Ja dalej nie wierzę, myślę że to jakaś prowokacja, a on nie przerywając mówi: -*"Przekonał się, że pan jesteś porządnym człowiekiem, jeszcze dzisiaj pójdzie pan do domu, ci co pana oskarżyli zostali surowo ukarani"*. Okazało się, że pan Dulkiwicz z bratem byli na usługach Niemców, a jednocześnie byli konfidentami Ruskich. Grubo po wojnie dowiedziałem się, że złapano ich jak nadawali z jakiegoś domu drogą radiową do Moskwy meldunek, a wywiad niemiecki przyłapał ich na gorącym uczynku, podobno rozstrzelali ich bez sądu.

W tej mojej zawziętej sprawie pomogła mi bardzo nasza sąsiadka z majątku Choćki pani Łokucjewska, bardzo szlachetna postać, wysoce inteligentna, znająca siedem obcych języków. Kiedy brat się dowiedział, że jestem w gestapo na ulicy Ofiamej natychmiast udał się do niej i właśnie pani Łokucjewska wystosowała pismo do Gestapo do Wilna, że nie jestem żadnym komunistą, opisała jak wywieźli moich rodziców na Sybir, jak rozgrabili naszą posiadłość w Pustoszy i to pismo najprawdopodobniej zadecydowało o moim ocaleniu. Trzeba wiedzieć, że tutaj u nas na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej Niemcy tolerowali właścicieli majątków ziemskich. Tego samego dnia zostałem zwolniony, ale w obawie, że mogę być obserwowany, do nikogo w Wilnie nie zachodziłem, tylko prosto udałem się w kierunku Krewa. Do domu nie poszedłem, gdyż dalej bałem się, że to może być pułapka, tylko chwilowo zamieszkałem w Choćkach, tam nabrałem sił i w styczniu 1944 roku poszedłem do partyzaniki. Ale poruszając okres konspiracji odbiegłem całkowicie od właściwego tematu. Celem mojej relacji jest końcówka roku 1944 i cały rok 1945. Lata te okazały się dla mnie najbardziej okrutne, straszne i tragiczne - aresztowanie tym razem przez Ruskich, deportacja na wschód, niewolnicza praca w kopalni, dramatyczna ucieczka z obozu do Polski.

Dwunasta Wileńska Brygada Partyzancka, w której służyłem, a której dowódcą był Hieronim Romanowski pseudonim "Cerber" została rozwiązana w Puszczy Rudnickiej 19 lipca 1944 roku. Pomimo tej reorganizacji znaczna część żołnierzy broni nie złożyła, ja również postanowiłem dalej walczyć, tym razem z nowym okupantem. Z blokady przez wojska sowieckie z Puszczy Rudnickiej wyszliśmy już jako Oddział Partyzancki "Wisłocha", wchodzący w skład Zgrupowania AK "Puszcza"

1/8

mira "Jaremy" - inż. Czesława Dębickiego. Do 19 sierpnia 1944 roku operowaliśmy w puszczech: Nackiej, Ruskiej i Grodzieńskiej. Ja dowodziłem plutonem. W wyniku walk z pułkiem NKWD w Borowym koło Dubicz (Ziemia Nowogródzka) w dniu 19 sierpnia 1944 roku zwarty dotychczas oddział został rozczłonkowany. Ja po naradzie z dowódcą i głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że dalsza walka z bronią w ręku, tym razem z nowym okupantem nie miała sensu. Zabrałem st. strzelca Stasia Sierasawskiego ps. "Lot", wnuka pani Łokucjewskiej, którego miałem pod opieką i udałem się do Wilna. Tam przeszedłem do konspiracji Garnizonu Wileńskiego Armii Krajowej, otrzymując z "Legalizacji" dokumenty na nazwisko Tadeusz Kozłowski. Do właściwego nazwiska powróciłem dopiero w latach 60-tych, gdy Prokuratura Wojewódzka i SB w Olsztynie, na wniosek władz sowieckich zajmowała się moją sprawą z 1944 roku. Ale wracam do tematu. Po zlikwidowaniu ostatnich resztek oddziałów Armii Krajowej, na terenie całej Wileńszczyzny rozpoczęła się straszliwy terror prowadzony przez nowego okupanta. Szalały tam tak zwane "istrybielnyje atnady" stworzone z miejscowych szumowin, które miały za zadanie niesienie pomocy oddziałom NKWD w niszczeniu wszystkiego co nie jest zadowolone z sowieckiej "władzi". Ogromne oddziały wojsk NKWD, rzucone na pacyfikowanie buntowników nie chcących podporządkować się rozkazom nowych władz, przetrząsały każdą wieś, każdy dom i niemal każde zadrzewienie.

Do Wilna dotarłem 22 sierpnia 1944 roku. Tam działająca jeszcze sprawnie organizacja KS ulokowała mnie na ulicy Podgórnej u państwa doktorostwa, których nazwiska już dzisiaj nie pamiętam. W tym samym pokoju gdzie ja miałem mieszkać, mieszkał już jeden akowiec, nie pamiętam z której brygady - na imię miał Wacek, a z którym dzieliłem dołę i niedołą przez cały rok. U tych państwa doktorostwa przemieszkaliśmy dwa miesiące, tam jak już przedtem wspominałem, otrzymaliśmy dokumenty. Kolega przybrał nazwisko Wacław Malewski (obecnie już nie żyje). Pewnego dnia wyglądając przez okno, obserwowaliśmy ludzi wracających z pracy do domu. Dzień był pogodny, odczuwało się jakby większą swobodę na ulicy. Widziałem dwóch pijanych robotników, którzy śpiewając jakąś skoczną melodię maszerowali lekko zataczając się wzdłuż chodnika. Miałem polecenie dostarczyć meldunek na ul. Zawalną, numeru domu już nie pamiętam. W tym celu namówiłem kolegę, żeby poszedł ze mną. Kolega najpierw się wykręcał, ale po dłuższej wymianie zdań udało się go namówić. Nie uszliśmy więcej niż 100 metrów, kiedy spotkał nas sowiecki patrol i zatrzymał takimi słowami: -*"Stać, kontrola dokumentów"*. Po okazaniu dokumentów powiedzieli: -*"Pajdziocie z nami"*. Zaprowadzono nas do tego samego domu gdzie mieszkaliśmy, chyba na drugie piętro, otwierają drzwi, a tam na środku pokoju leży zabity człowiek dosłownie

2/19

w katuzy krwi. Ja zdębiałem, a oni: -"Ot wy bandity, wy ubili!". Kiedy zacząłem się tłumaczyć powiedział: -"Pasmatri, u tiebia jeszcze ruki w krowi" (Popatrz, jeszcze masz ręce we krwi). Nie było żadnego tłumaczenia, pozakładali nam kajdanki, do których już byłem przyzwyczajony i zaprowadzono po raz trzeci na Łukiszki. Dla młodego pokolenia muszę wytłumaczyć co to znaczy Łukiszki - tak nazywało się największe więzienie w Wilnie. Tam katowali Polaków: w latach od 1939 do czerwca 1941r. Litwini i sowieci, od czerwca 1941 do 1944 Litwini i Niemcy, a od 1944 do 1989 Litwini i sowieci. Litwini kolaborowali z Ruskimi i z Niemcami jednakowo.

Po wojnie dowiedziałem się, że ten niezujący człowiek o nazwisku Teodor Bujnicki, był redaktorem Kuriera Wileńskiego wychodzącego w Wilnie w języku polskim. I ten właśnie redaktor wypisywał różnego rodzaju paszkwile w Kurierze Wileńskim pod adresem Armii Krajowej. Nasza "Egzekutywa" ostrzegła go trzykrotnie, aby zaprzestał szkalować dobre imię naszej organizacji akowskiej. Kiedy to nie poskutkowało, "Egzekutywa" skazała go na karę śmierci. Wyrok wykonali partyzanci "Wadek" i "Urka". Do komórki likwidacyjnej byli wyznaczani partyzanci o najtwardszych charakterach, była to specjalna jednostka wykonująca wyroki śmierci, wydane przez Polski Sąd Konspiracyjny. Dowódcą tej jednostki był w tamtym czasie cichociemny Adam Boryczko ps."Brona", potem przeniesiony został do specjalnej komórki dywersyjnej. Po przyprowadzeniu nas do więzienia na Łukiszkach, rozdzielono nas i osadzono każdego w innej celi. Nastąpiły długie, mroczne i beznadziejne dni i noce. Kto nie przeżył uczucia grozy, jaką wywołuje odgłos zatrzaśniętej za plecami, ciężkiej więziennej bramy, ten chyba nie jest w stanie jej odczuć. Przez zewnętrzne ślany i okute drzwi od korytarza dochodziły odgłosy stapania żołnierskich butów i nawoływania warty: -"Stój, kto idzie?". Czasem z daleka przez ściany, przeważnie w nocy, słychać było rozpaczyliwy krzyk: -"Jezu, ratunku - morduj!", odgłosy strzałów, głuchy odgłos upadającego ciała, jęki i nerwową bieganię. Straszna i tajemnicza jest groza więziennej nocy. Znalazłem się w celi ogólnej, bardzo dużej. Warunki były okropne, ścisk taki, że nie można było ani usiąść, ani się położyć z wyciągniętymi nogami. Brak wody w celi, stojący w rogu cuchnący klozet zwany "paraszą". Z którego przelewało się wierzchem, a fekalia rozpyływały się po podłodze, wszy i zaduch aż do omdlenia, a do tego był bardzo różnorodny zespół ludzi, a więc były ciągle kłótnie, przekleństwa, złośliwe i aroganckie wypowiedzi. Prosiłszy Boga, żeby nas stąd zabrano, a niektórzy mówili, że nie tylko Niemcy, ale niech sam diabeł przyjdzie, żeby tylko nas uwolnił. Więźniów wywoływano na badania przeważnie o północy. Wyglądało to w ten sposób, że dozorca celi zwany "barbosem" krzyczał przez judasza w drzwiach: -"Adzywajisia na bukwu W". Wszyscy więźniowie mający nazwisko na literę "W" wymawiali kolejno swoje nazwiska, aż dozorca

2/10

krzyknął: -"Chwacił, a Wasilewski Wiktorowicz pajdziosz z nami". Tak właśnie następnej nocy było ze mną. Po wyjściu z celi wprowadzono mnie do nieduzego pokoju. Za stołem siedział enkawudzista, tak zwany "sledowaciel", który przestuchiwał, oskarżał i sam protokołował. -"No tak gawari prawdu, my wsio znajem" (No mów prawdę, my wszystko wiemy). Jeżeli chodzi o redaktora, to nam już tej śmierci nie zarzucali, myślałem że byli chyba na tropie właściwych wykonawców wyroku. "Sledowaciel" prowadził długie i szczegółowe śledztwo, dotyczące powiązań mojej osoby z Wileńską Armią Krajową, jej działalnością, ustosunkowania się do zagadnień sowieckich, oraz ruchu oporu ostatniego podziemia. Żądał nazwisk, adresów, samooskarżeń. Kiedy na wszystkie zarzuty otrzymywał odpowiedź: -"Nie", spokojny jego głos przeradzał się w furję, uderzał w twarz i krzyczał: -"Ty strzelał do naszych bajcow" (Ty strzelałeś do naszych żołnierzy). I tak co noc kogoś wywoływano, a każdy był szczęśliwy, że to nie jego alfabetyczna litera.

Od lipca 1944 roku do maja 1945 aresztowano w Wilnie około 50 tysięcy osób, zapędzając wszystkie więzienia, obozy, lokale milicji. Aresztowań w trybie politycznym dokonywało NKGB, natomiast innych przestępców dostarczało NKWD. Sięgnęło więc w najszersze koła społeczeństwa i tym tłumaczy się bardzo różnicowany zespół ludzi, przykry i upokarzający dla więźniów politycznych, którzy znaleźli się razem, dokładnie wymieszani z mordercami, złodziejami, konfidentami i członkami band ukraińskich. I tak minął październik, listopad, grudzień, styczeń i luty już 1945 roku. Już nie pamiętałem ile razy byłem badany, ale raz w tygodniu na pewno, a nieraz i dwa razy. I tak przez pięć i pół miesiąca siedziałem w strasznych warunkach, do przynależności do Armii Krajowej nie przyznałem się, nic mi nie udowodniono i żadnego wyroku nie miałem. Od dnia 15 marca 1945 roku grupami po kilkanaście osób spędzano nas schodkami na dół i kazano rozbierać się do naga. Po szczegółowym sprawdzeniu naszych ubrań, kieszeni i butów -w niektórych butach odrywano nawet obcasy- zabrano nasze ubrania do "woszoprudki" (dezynfekcji), nas natomiast ustawiano w kolejce do fryzjerów, których zadaniem było ostrzyżenie głowy, wygolenie łona i pod pachami bardzo tępą brzytwą. Do wykonania tych zabiegów angażowano przeważnie element z tak zwanego marginesu społecznego. Przekonałem się później kilkakrotnie, że rewizja i dezynfekcja oznacza zmianę losu. W tażni przysznice umieszczone były wysoko pod sufitem, skąd sączyła się bardzo siabliutko, małymi kroplami zimna woda. Kiedy delikwent znalazł się pod przysznicem, konwojenci krzyczeli: -"Bystro, bystro" (Szybcej, szybko), wpędzając następną grupę więźniów pod przysznic. Mycie praktycznie ograniczało się do opryskania ciała zimną wodą. W następnej sali czekały już na nas nasze ubrania po dezynfekcji. Kiedy więźniowie byli już ubrani, przeganiano ich do następnej sali, gdzie ustawiono w szeregu i znów

5/11
w szereg przeliczano. W niecałą godzinę po kąpiel, bez obiadu, sprowadzono nas schodami na podwórze i jeszcze po parokrotnym przeliczeniu i ku naszemu przerażeniu pognano nas brutalnie w kierunku dworca kolejowego przy akompaniamencie przekleństw, uderzeń kolbami, silnie uzbrojonym konwojem w bardzo szybkim tempie. Konwojenci mieli pozakładane na karabiny bagnety, co sprawiało ostępujące wrażenie. Nie wiedzieliśmy jaki los nas czeka i dokąd nas gonią. Dopiero kiedy ukazał się długi zestaw bydłych wagonów, wszyscy jednogłośnie orzekli, że jedziemy na Sybir. Na dworcu kolejowym kazano nam wszystkim uklęknąć, a konwojenci w tym czasie uzgadniali stan konwoju, odliczając raz po raz od początku, a stan wcale im się nie zgadzał. Kłęczeliśmy na śniegu, operacja przeliczania trwała około dwóch godzin, niektórzy przewracali się z wycieńczenia.

Po paru godzinach wycieknięcia, kiedy byliśmy u kresu sił, zaczęło nas wpędzać do wagonów, po 40 osób do każdego wagonu z okrzykiem: *"Bystro, bystro"* (Szybko, szybko). W wagonie znaleźliśmy się w całkowitej ciemności, było bardzo zimno, pod nogami rozdeptane, gęste i mokre błoto. I tak minęła koszmarowa doba zanim pociąg ruszył. Taki obraz Wilna utkwił mi w pamięci. Byliśmy przekonani wszyscy, że wiozą nas na Sybir. Konwojent zapytany na postoju dokąd jedziemy, odpowiedział ironicznie: *"Do Berlina"*. Tak niesety byli oni informowani, że wiozą wołksdojczów. Podobnie potem informowano górników w Donbasie i całe tamtejsze społeczeństwo. Dzieci ich wykrzykiwały do nas: *"Giermarcy"*, gdy prowadzono nas do kopalni, obok górniczych osiedli.

Nie mogę pojąć do dzisiaj jak mogłem wytrzymać 12 dni i 12 nocy tej piekielnej jazdy w ciemnościach, głodzie i mrozie, który wzrastał im dalej byliśmy na wschód od Wilna, a była druga połowa marca. Nie zachorowałem, nie odmroziłem rąk ani nóg, chociaż przez cały czas dygotałem, a palce u rąk i nóg były zgrabięte. Przeważnie raz na dobę pociąg zatrzymywał się na dłuższy postój. Wtedy wszyscy krzyczeli: *"Wody, wody"*. Na to była zawsze ta sama odpowiedź: *"Ałkuda dam wady, kak budziem w gorodzie, budziem wada"* (Skąd dam wody, jak będziemy w mieście, będzie woda) *"Zdies my nachodzimsia w lesu"* (Teraz znajdujemy się w lesie). Co drugi dzień, nieraz co trzeci otrzymywaliśmy suchy prowiant w postaci dwóch sucharów i garści ryby. Na wystawioną z wagonu diorzucano tyżką porcję ryby, która była tak mała, że mieszcza się w dłoni. Ryba o nazwie ciulka, była wielkości małego palca u ręki i cała oblepiona solą. Praktycznie było więcej soli i ości niż ryby. Po zjedzeniu suchara i ryby męczyło ogromne pragnienie, które dokuczalo bardziej niż zimno. Przez cały okres odczuwało się dziwne ssanie w żołądku, a było to uczucie głodu. Organizm był tak wysuszony, że z powodu wzdęć i obstrukcji, czynności fizjologiczne zatałwiało się raz na trzy doby w kącie tego samego wagonu, do obmarzniętego lodem otworu. Ponadto

5/12
gryży nas wszy i nie można było nic na to poradzić, niemożliwe było rozebranie się z powodu zimna.

Wreszcie po dwunastu dniach podróży, zatrzymaliśmy się w jakimś miejscu i konwojenci kazali nam się przygotować do wyjścia z wagonów. Ponieważ pociąg przybył wieczorem, oznajmiono nam, że transport będzie rozładowany dopiero rano. Musimy poczekać, a rano otrzymamy gorącą i wkusny (smaczny) czaj (herbatę). O szarym, brudnym świetle zaczęło kolejno otwierać drzwi wagonów i nas wyladowywać. Najpierw kobiety, a potem szli mężczyźni. Oczom naszym ukazały się prostokątne budynki z kamienia, były to lagry Zagłębia Donieckiego. Byliśmy bardzo zmęczeni, głodni i zmarznęci. Po wyladowaniu z wagonów popędzono nas tak jak zwykle *"bystro, bystro"* (prędko, prędko) wzdłuż torów, przed dużą żelazną bramę, gdzie kazano nam uklęknąć i od nowa rozpoczęło się kilkakrotne przeliczanie - uzgadnianie stanu. Po wejściu za bramę okazało się, że łagier składa się z dużych sześciu budynków z kamienia, piętrowych, otoczonych wysokim płotem z kolczastego drutu. Na czterech rogach tego płotu stały budki strażnicze, tak zwane jaskółki, na których dzień i noc stali krasnoarmiejcy z pepesami gotowymi do strzału. W rogu niedaleko drutów stała okropna, zbiorowa latryna na 15 miejsc w pozycji kucającej. Przed bramą znajdował się jeszcze jeden budynek piętrowy, w którym mieszkali nasi opiekunowie, oficerowie NKWD. W budynku tym mieścił się również magazyn żywnościowy.

Za bramą rozeszliśmy się swobodnie, już po przybyciu do obozu prawie połowa ludzi była chora. Organizm wycieńczony w więzieniu łatwo się przeziębiał, ale najgorsze było to, że jeszcze w miejscach niżej położonych leżał śnieg i prawie wszyscy nalychmiast rzucili się w jego kierunku, aby złapać chociaż garść i łapczywie ugasić pragnienie. Skutek okazał się błyskawiczny, wybuchła w obozie epidemia krwawej biegunki, tak zwany *"panos"*. Codziennie wywożono po kilka furmanek zmarłych na krwawą biegunkę za bramę. Wartownik stojący przy bramie obowiązkowo dokonywał uktucia bagnetem każdego zmarłego, aby się przekonać, czy wśród nich nie znajduje się przypadkiem żywy amator ucieczki. Odnieśliśmy wrażenie, że bloki były zbombardowane, gdyż zupełnie nie były przystosowane do zamieszkania. W niektórych budynkach brakowało okien, a inne stały bez dachów. Wstawianie okien i remonty dachów odbywały się w bardzo szybkim tempie. Niemniej parę tygodni mieszkaliśmy w budynku, gdzie nie było okien. W sali, do której mnie wepchnięto, oprócz pryczy nie było żadnych mebli, gołe ściany, bez sienników ani ławki czy stołu. Spaliśmy na gotych deskach, zamiast poduszki były własne buły i zadnego przykrycia. Szele, gdzie spaliśmy przez cały mój pobyt w obozie nie były ogrzewane, najbardziej dokuczał nam chłód i głód. Po dziesiątkach lat czuję te przemarnięcia w kręgosłupie i w ramionach.

Spało się w odzieży, w której się chodzilo do pracy. W tych warunkach byliśmy ciągle zawieszani, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zagnano nas do łaźni. Na środku obozu znajdowała się studnia z ręczną pompą, pod którą zimą i latem można było się umyć. Więźniowie byli tak osłabieni i wyczerpani po powrocie z kopalni, że nikt już nie miał siły, aby dojeść do pompy.

Codziennie o piętej godzinie rano głośnik radiowy nadawał "Szyraka strana maja radnaja" (Szeroka moja strona rodzinna). Był to sygnał do wstawania, wtedy wpadało kilku konwojentów z psami krzycząc: "Padom" (Wstawać) i spędzali wszystkich z pryczy. Kto nie miał siły wstać, tego szcztu psami i ściągano siłą. Zaraz po 5-tej rano pędzono nas na plac obozowy, gdzie już o tej porze czekała na nas zima na sankach, latem na dwukółce beczka z kawą. Po ustawieniu nas w kolejce i bodaje co najmniej dwukrotnym przeliczeniu wlewano nam do puszki, znalezionej w przydrożnym rowie po świńskiej tuszonce, chochlę zimnej czarnej lury, która miała być odpowiednikiem czarnej kawy. Jednocześnie każdy otrzymywał na cały dzień porcję chleba o wadze 350g. Chleb był zawsze mokry, bo pracujący w "chlebozeczce" (krajalni chleba), aby uzyskać dodatkowe porcje chleba dla siebie i na nielegalny handel, otrzymywały chleb z piekarni, już ociekający, dodatkowo oblewali wodą. Na obiad w tym samym miejscu na podwórzu dostawaliśmy chochlę rzadkiej cuchnącej cieczy, zwanej barszczem, czyli kapuśniakiem, bez żadnych dodatków. Nie było w nim ani jednego ziemniaka, ani ziarenka pęczaku, ani kawałka bruwki, o tuszce nie było co marzyć. Tuszcz był potrzebny żołnierzom na froncie. W godzinę po pobudce następował wymarsz do pracy. Pracowaliśmy na trzy zmiany. Wymarsz odbywał się w kolumnie przez bramę lagrową. Kolumna była kilkakrotnie sprawdzana i przeliczana przez brygadzystów i konwojentów dyzurujących przy bramie. Do pracy szliśmy całą godzinę, kopalnia była oddalona około 7 kilometrów od obozu. Po wyjściu z kopalni, jak i przed bramą wejściową do lagru zatrzymywano nas i zawsze kilkakrotnie przeliczano - toteż praca razem z dojsciem wynosiła dwanaście godzin. Po przekroczeniu bramy brali nas pod swoją opiekę konwojenci. Po przeliczeniu zawsze słyszeliśmy to samo ostrzeżenie, że w razie nieposłuszeństwa lub ucieczki, konwojent użyje broni. Z boku co trzecia czwórka i z tyłu maszerowali konwojenci, trzymając bagnety na karabinach w pozycji poziomej, jak do strzału. Każdego dnia po przybyciu do kopalni stawiliśmy w kolejce po narzędzia: kilofy, młoty, lampy górnicze. Następnie partiami zaganiano nas do windy, była to ostatnia chwila skupienia i polecenie się Malce Boskiej. Za każdym razem szliśmy jak na bój, nie wiedząc czy wyjdziemy cało, co drugi dzień były wypadki śmiertelne, w windzie lały się na nas strugi wody. Do pracy przystępowaliśmy zupełnie przemoczeni, a poza tym były tam okropne przeciagi. Nie pamiętam ile, ale mieliśmy do wykonania normę określoną w metrach sześciennych.

Trzeba było wyrębać wyznaczony odcinek i zabezpieczyć go tak zwaną "stojką". W szychcie chodzilo się poziomo, raz na łokciach, raz na pośladkach lub na kolanach. Ciężka praca, bezwitaminowe wyżywienie spowodowały, że zaczęły nas atakować wrzody. Wdziadlo się na każdym kroku zropiałe uda, ropiejące palce, czyraki na plecach i szyi. Z powodu braku białejny na zmianę, owrzodzenia stały się jedną z najbardziej przykrych udręk, następnie występowała awitaminoza, wypadanie włosów, obrzęki dżiąseł i nóg. Męczyły mnie również ostre stany zapalne skóry, najpierw na nogach, a potem pojawiały się i wyżej. Pojawiały się czarne plamy na skórze, gdy w tym miejscu wgniatałem ciało - wdęśnięcia pozostawały na stałe, tak zwana skaza kwotoczna, niektóre dziury były bardzo głębokie. Po pięćdziesięciu latach zachowało się jedno takie czarne miejsce na nodze. Potem przyszyły zaburzenia układu nerwowego ciągnące się do dzisiaj. Po kilku miesiącach pracy, rano po pobudce schodząc z pryczy zemdlałem. Odwieziono mnie do lazaretu, okazało się, jak mi potem opowiadała pielęgniarka, że miałem 40 stopni temperatury i obustronne zapalenie płuc, a ona mając tylko dwie banłki w lazarecie, przedstawiała je na plecach z jednego miejsca w drugie pytając: "Kazłow, ty żyw?" (Kozłowski, czy ty żyjesz?). Nazywałem się wtedy Kozłowski - nazwisko z konspiracji. Naturalnie ja znam to tylko z opowiadania pielęgniarki, gdyż byłem wtedy nieprzytomny. Kiedy wyszedłem z lazaretu, skierowano mnie do pracy na zewnątrz kopalni, tam z kolegą również po zapaleniu płuc mieliśmy normę: w przeciagu 8-miu godzin musieliśmy załadować szuflami z ziemi wagon węgla tak zwany "pulman" o pojemności 20 ton.

I tak trwało do miesiąca października 1945r. W polowie października wypędzono nas na plac obozowy, gdzie po dwugodzinnym oczekiwaniu zjawił się na trybunie komendant obozu o nazwisku Pańszczyn i oznajmił wszystkim, że "pobiedzili giermańca" (zwyciężyli germańca), "wajna akończona, pojedzicie damoj, tolko nada padgaić rany Sowieckomu Sojuzu" (wojna skończona, pojedzcie do domu, tylko trzeba podleczyć rany dla Związku Radzieckiego). I rzeczywiście starych ludzi, schorowanych, nie nadających się absolutnie do żadnej pracy, odsyłano zbiorowym transportem do Polski. Ja stawałem kilka razy przed komisją, niesieły pomimo wycieńczonego organizmu nie odjechałem. Byłem za młody, mówiono mi "ty jeszcze parabolajesz" (ty jeszcze popracujesz).

Nachodziła zima, a ja zdawałem sobie sprawę, że następnej zimy tu nie wytrzymam, zacząłem się zastanawiać co robić. Po zapowiedzi komendanta obozu, że wojna skończona zauważyłem, że więźcy strażnicze na rogach obozu jeszcze stały, ale krasnoarmiejców już na nich nie było, a do kopalni odprowadzał cywil z krótką bronią u pasa. Kiedy stwierdziłem, że na więzoczkach nie ma już strażników, a tylko jeden żołnierz pilnuje przy bramie w budce wartowniczej, postanowiłem uciekać

z obozu. W tym celu namówiłem jeszcze kolegę i codziennie po zachodzie słońca przekradaliśmy się przez druty kolczaste, otaczające obóz, na pole kolchożne, gdzie dojrzewał ogromny areal kukurydzy. Zrywaliśmy kolby kukurydzy do chlebaków, następnie prażyliśmy ją w obozie na płycie żelaznej, ustawionej na cegielkach na podwórzu. Miał to być jedyny nasz prowiant na okres ucieczki.

W Związku Radzieckim w tym czasie panował głód i nie można było liczyć na pomoc ludzką podczas ucieczki, gdyż ludzie radzieccy sami niewiele mieli do jedzenia, a poza tym społeczeństwo było tak ustawione, żeby donosić władzom o każdym zauważonym jakimkolwiek obcym przybysz. Za każdego wskazanego obcego osobnika władza sowiecka obiecała dać każdemu pół pudła, czyli 8 kg ziemniaków w nagrodę. W tym czasie była to dość znaczna nagroda, bo w ich pojęciu był to szpieg lub "pan" czyli krwiopijca.

W końcu października 1945r. mając już pełne plecaki kukurydzy, pewnego dnia po wieczornym apelu, kiedy wszyscy towarzysze niedoli usnęli, wykradliśmy się po cichutku z obozu i po kilku godzinach marszu, dobrnęliśmy do najbliższej stacji kolejowej oddalonej o 10 km od obozu. Stację kolejową były wtedy jeszcze nie oświetlone, co nam bardzo sprzyjało przy przechodzeniu przez tory. Po dwóch godzinach oczekiwania, zauważyliśmy w pobliżu stacji formujący się pociąg towarowy w kierunku Kijowa. Nie namyślając się długo, wskoczyliśmy na bufory między wagonami i po ruszeniu pociągu, stojąc jechałymi całą noc. Skoro świt zesłakaliśmy z pociągu i szybko kierowaliśmy się do najbliższych krzaków lub lasu, aby przeczekać do wieczora. Kiedy się ściemniło, znowuz krocziliśmy szybko na stację kolejową i czekaliśmy na pociąg odjeżdżający w naszym kierunku. Najgorsze było wyczekiwanie w lesie całymi dniami, dłużyło się niesamowicie, a najbardziej dokuczał chłód i głód, była przecież jesień, byliśmy przeważnie przemoknięci. Nie mieliśmy ciepłego ubrania, a bielizna nasza po roku całkiem się wydarła. Byłem jedynie w mundurku wojskowym bez podszewki, gdyż ta zupełnie się wystrzępiła, bez kaleson. Spodnie były przetarte na kolanach, gdyż w kopalni pracowało się na kłęczkach, a zamiast skarpet i butów były kalosze, podwiązane sznurkami, żeby nie spadały.

Kijów mijaliśmy w wagonach towarowych przykryci węglem. Pamiętam tej nocy padał już śnieg, była to druga połowa listopada 1945r. Z uwagi na ciągłe przemoknięte ubranie, głód i chłód, wyczekiwanie w lesie było bardzo uciążliwe, dlatego zdecydowaliśmy się maszerować w dzień torem, a kiedy zobaczyliśmy z daleka stację kolejową, to zostawiliśmy tor i obchodziliśmy stację z boku. Tak idąc torem, już za Kijowem zauważyliśmy, że wysuwa się z rowu jakiś osobnik i biegnie wzdłuż toru w naszą stronę. Kiedy doszedł do nas, powiedział "zdrastujecie" (dzień dobry) i zapytał kto my jesteśmy. My przed wyruszeniem z obozu braliśmy

pod uwagę różnego rodzaju przygody i wypadki, dlatego ustaliliśmy co mamy jednakowo mówić. Ponieważ już odchodzili transporty do Polski ze starcami, chorymi i kalekami, dlatego zasenowaliśmy bajeczkę, że wracamy z roboty do domu do Polski. Wróciliśmy zorganizowanym transportem, tam są nasze dokumenty i nasz brygadzysta. Turnaczymy się dalej - kiedy pociąg się zatrzymał w Kijowie, to my wyskoczyliśmy kupić tytoniu, a kiedy wróciliśmy na dworzec kolejowy, pociągu naszego już nie było i dlatego teraz się tak męczymy i wracamy, korzystając z każdej okazji. Na to spotkanie przybysz: "Tak czewo wy muczytieś, zdzieś charoszy naczalnik stancji, on dasz wam puciuowku i wy pajejdicie damoj" (To czego wy się męczycie, tu jest dobry naczelnik stacji kolejowej, on da wam przepusikę i wy pojedziecie do domu pociągiem). Idąc z nim zbliżamy się do stacji kolejowej. Nam potrzeba odbijać w bok, żeby ją ominąć, a ten osobnik znowu do nas mówi to samo "czewo wy muczycieś" - żeby iść do naczelnika stacji. My twarodo odpowiadamy, że jakoś dobijemy do swego transportu, że to już pewnie niedaleko i on poszedł sam na stację, a my ruszyliśmy dalej. Nie uszliśmy więcej jak sto kroków, jak uszyszliśmy głośny krzyk: "Stoj! Stoj!". Kolega mój podczas makabrycznej jazdy na buforach poprzębiał uszy i stracił słuch, nic nie słyszał, ja natomiast, pomimo że słyszałem nie odwracałem się. Było to późne popołudnie, a właściwie tuż przed wieczorem, przed nami po lewej stronie ukazał się brzeg lasu. Już miałem skoncentrowaną myśl, aby skoczyć i schować się w zarostach, lecz ku memu przerażeniu zauważyłem wysuwające się z tego lasu jakieś czerwone małe figurki, które szły powoli w naszą stronę wyciągając przed siebie, jak tępe żądla - automaty typu "pepesza". Myśmy zamarli, bo byli to żołnierze Armii Czerwonej. Z ust ich dochodził przeraźliwy krzyk: "Ruki w wierzch. Stoj!" (Ręce do góry. Stój!). No i stało się. Nie było gdzie uciekać. Po dokładnym obmacaniu nas i przeskakaniu kieszeni, zaprowadzono nas do łaźni. Łaźnia na Białorusi to był prowizoryczny budynek drewniany bez okien i bez podłogi, nie było w niej szafki do rozbierania. Spełniała dwie funkcje - służyła do suszenia ln i do kąpeli. Do ogrzewania łaźni był wybudowany duży piec z kamieni, który stał z prawej strony, przy wejściu. Przy drzwiach tej łaźni stał żołnierz z karabinem w ręku gotowym do strzału. Był on rozbijający w swym postępowaniu. Skręcał w gazecie papierosa z korzeni tytoniowych i żeby gazeta mogła się sdeić musiał ją przytępić za pomocą śliny. Tak spreparowanego papierosa brał do ust, a kiedy parę razy się zaciągnął, uchylał lekko drzwi łaźni mówiąc "na pakuri nie boisia, niczewo tiebie nie budziel" (weź zapal nie bój się, nic ci nie będzie). Te jego słowa bardzo podtrzymywały nas na duchu. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, wygląd nasz mówił sam za siebie, że jesteśmy uciekinierami - nie ogoleni, brudni z ostrzyżonymi na krótko głowami. Zdawali nam się sobie sprawę, co nas czeka. W najlepszym wypadku, po długim i uciążliwym śledztwie, powrót do obozu lub wieloletnie więzienie.

11/17
Nie upłynęło może pół godziny, jak otworzyły się drzwi i dwóch czerwonoarmiejców zwróciło się do mojego kolegi: "Rozdziewaj się" (Rozbieraj się). Kolega mój przed ucieczką z obozu miał jeszcze w dobrym stanie buty oficerskie, które wymienił na nowy granatowy kombinezon, taki jak otrzymywali brygadziści w mechanicznych warsztatach samochodowych. Kiedy kolega zjął ten kombinezon, był całkowicie nagi i w takim stanie zabrali go z tej łaźni.

Zostałem sam rozmyślając dlaczego tak się stało. Mieliśmy za sobą prawie cały miesiąc podróży i było już tak blisko naszego ukochanego Wilna. Aktualnie znajdowaliśmy się między Homlem a Mińskiem. A teraz na pewno dostaniemy w czapę. Pomyślałem sobie, że pewnie nie chcą krwawić kombinezonu, dlatego kazali mi się rozbierać, przecież już było przeraźliwie zimno, a pilujący mnie żołnierz znowu uchyła lekko drzwi łaźni i przez szparę podaje mi obślinionego papierosa w gazecie i mówi: "Pakuri nie bojsia, niczewo *ti*bie nie budziel". Nie upłynęła może jedna godzina, może dwie, trudno teraz po tylu latach skojarzyć - jak ponownie otworzyły się drzwi w łaźni. Ci sami dwaj żołnierze szli jak poprzednio i powiedzieli: "Razdziewaj się" (Rozbieraj się). Jak się rozebrałem, miałem na sobie tylko strzępy spodenek kapielowych, gdyż bielizna po roku całkowicie się podarła. Przeprowadzono mnie przed oblicze "śledowatiela" w randze majora. Był to oficer NKGB, który zwrócił się do mnie tymi słowami: "Sadziś i razkazywaj" (Siadaj i opowiadaj). Ja naturalnie zacząłem opowiadać poprzednio z kolegą uzgodniony tekst, że wracaliśmy ze Związku Radzieckiego transportem zorganizowanym z roboty, wyskoczyliśmy kupić tytoniu itd., a tymczasem widać jak dwaj żołnierze, którzy mnie przeprowadzili, wywracają kieszenie w moich spodniach i szwy w całym moim ubraniu, dokonując szczegółowej rewizji.

Kiedy opowiedziałem wszystko i jak odłączyliśmy się od transportu, oficer podniesionym głosem na to: "Ty wrosz, twój tawarisz razkazał po prawiliu..." (Ty kłamiesz, twój kolega powiedział prawdę, że wy uciekliście i że ty byleś organizatorem ucieczki). Naturalnie zaprzeczyłem wszystkim i powiedziałem: "Proszę zawołać tego kolegę, niech on to powie przy mnie". Byłem pewny, że kolega - stary, wypróbowany partyzant mnie nie zdradzi. I tak po kilkakrotnym powtórzeniu "nie przyznaj się" (nie przyznaj się) kazano mi się ubrać i wyprowadzono mnie poza budynek. Okazało się, że za budynkiem biegła linia kolejowa. Z daleka zauważyłem wagony bydłace. Przy jednym wagonie stał krasnoarmiejec z karabinem w ręku. Kiedy zbliżyłem się do wagonu, oddrutował on drzwi i kazał wejść do środka. Zdziwienie moje było ogromne, gdyż po wejściu do wagonu zobaczyłem mojego kolegę. Radości było co nie miara, rozstając się byliśmy pewni, że już więcej się nie zobaczymy. Ale radość nasza była krótka, gdyż zorientowaliśmy się, że wiozą nas z powrotem na wschód. Wyładowano nas w Homlu w nocy i wpełchnięto do jakiegoś ciemnego

11/18
pomieszczenia. Rano stwierdziliśmy, że był to okratowany garaż, czy może jakiś magazyn, z oknami bez szyb i cementową podłogą. Po miesięcznej tułaczce, gdzie materacem była ziemia, a koldrą niebo, wydato się nam, że w tym magazynie było względnie ciepło. Rzuciliśmy się na betonową podłogę i przespaliśmy do rana.

Rano obudzono nas i zaprowadzono do miejscowego NKWD. Była tam dość duża poczekalnia, dookoła przy ścianach stały ławki, dość dużo już tam było osób, wcześniej przed nami zatrzymanych. W drzwiach stał żołnierz z karabinem i stale kogoś wywoływał na badanie, a inny żołnierz wciąż przyprowadzał do środka nowych. Obserwując zatrzymanych w tym pomieszczeniu, odniosłem wrażenie, że nie byli to przestępcy polityczni: wyglądali jakby złapani na rynku i zatrzymani za nielegalne uprawianie handlu. Skąd było takie przypuszczenie? Otóż ci aresztowani, znajdujący się na tej sali zachowywali się dość swobodnie. Wyglądało, że przyciszonym głosem opowiadali sobie dowcipy na ucho, a rozmowa była przerywana głośnym śmiechem. Po jakimś czasie zabrano mego kolegę na przesłuchanie. Ja zostałem w poczekalni i dalej mogłem obserwować przeprowadzanych i wyprowadzanych osobników z tej sali. Już nie pamiętam ile upłynęło czasu, jak przyprowadzono mego kolegę z powrotem, a mnie zaprowadzono na górę do dużego pokoju, gdzie za stołem siedział pan średniego wzrostu, w ciemnym garniturze i odezwał się do mnie po polsku, ale akcent miał bardzo rosyjski: "No co partyzant, czyżby aż tu sięgał rejon do uprawiania dywersji?" Siedząc w więzieniu na łukiszkach w Wilnie, byłem bardzo często wzywany na przesłuchanie, dlatego miałem możliwość poznania ich mentalności i sposobu badania. Toteż bez trudności obalilem zarzuty przynależności do Armii Krajowej, mówiąc że starałem się na ochotnika do Armii Berlinga, ale ze względu na stan zdrowia nie przyjęło mnie do wojska, a skierowano do kopalni węgla - na tak zwany trudowy front. Obecnie kiedy wojna się skończyła wszystkich zwalnają do domu.

Tłumaczenie nasze stwarzano pozory prawdopodobieństwa, gdyż faktycznie w tym okresie transporty szły w kierunku Polski. Po powtórzeniu kilkakrotnym pytań, kiedy po raz któryś zaprzeczyłem - do stojącego obok żołnierza śledczy powiedział: "Zabrać jęwo" (Zabrać go). Odprowadzono mnie do tego samego pomieszczenia skąd zabrano, usiadłem obok mojego kolegi, który oparł się o moje ramie i drzemał. Po pewnym czasie przyszedł żołnierz i wskazując palcem na nas obu powiedział: "Wy i wy idziecie" (Ty i ty idźcie sobie). Zerwaliśmy się na równe nogi i przez drzwi, wąskimi uliczkami poza domem, skierowaliśmy się ścieżkami w stronę widniejącego lasu. Do dziś zostało tajemnicą dla nas, czy ten żołnierz miał polecenie w stosunku do innych osób i się pomylił, czy faktycznie nas tak lekko rozgrzeszono. Do Mińska dojechaliliśmy pociągiem osobowym na buforach nocą. Mińsk obeszliliśmy w dwa dni i dwie noce, po nocy

blędziliśmy, trzeciego dnia znaleźliśmy na paśmie szosy, łączącej Mińsk z Wilnem, odległość 200km. Wioząc się ostatkiem sił, zauwazyliśmy po prawej stronie drogi dom, pobielany z ganceczkiem. Powiedziałem wtedy do mojego przyjaciela: - "Chodź, zajdziemy do tego domu, tu są już nasi Białorusini, może dadzą trochę ziemniaków, ja już całkowicie upadam z sił". Zolądek mój nie chciał trawić surowej kukurydzy, której mieliśmy jeszcze trochę w chlebakach. Męczyły mnie coraz ostrzejsze biegunki. Kolega stanowczo odmówił i oświadczył, że nie pójdzie. Poszedłem sam. Kiedy otworzyłem drzwi i powiedziałem, dzień dobry, siedząca na ławie starszka, jeszcze nie zdążyła odpowiedzieć na moje przywitanie, jak z prawej strony, zza kilimu, który zasłaniał inne drzwi, ktoś położył rękę na moim ramieniu, zwracając się do mnie w ten sposób: - "A ty gałubczyk dakumienty imiesz?" (A ty gołębczku dokumenty masz?). Kiedy odpowiedziałem, że nie mam, powiedział "pajdziom wmięście" (pójdziemy razem). Okazało się, że po drugiej stronie szosy było dość gęste zadrzewienie, sądziłem że to był las, ale niesłety to było tylko zadrzewienie od szosy, a dalej był park, a w tym parku znajdowały się koszary, w których byli więźni krasnoarmiejcy, którzy uciekli z niewoli niemieckiej do swojej ojczyzny. Musieli oni przejść roczną kwarantannę w więzieniu, gdzie im wmaiano, że podczas pobytu w niewoli niemieckiej "napitalis wozduchom faszyskim" (nasiękl duchem faszystowskim). A w tym pobielanym domku mieszkał oficer NKWD, który pracował w tym więzieniu. Trudno określić czy to było więzienie czy koszary, podobno za czasów carskich były to koszary, a teraz zamieniono na ulgowe więzienie. Doprowadził mnie on i ulokował w znajdujących się tam koszarach. Tam akurat był obiad, krasnoarmiejcy wdząc nowego przybysza, poczęstowali mnie również ciepłą zupą. Kiedy powiedziałem im, że jestem Polakiem, odnosili się do mnie łagodnie, a nawet powiedziałbym z szacunkiem, naród rosyjski jest dobry, tylko system był szatański. Szybko nawiązałem z nimi kontakt, opowiadałem im jak to się żyło w Polsce przed wojną. Najzabawniejsze było to jak powiedziałem im, jak przed wojną odżywiano się w Polsce: inteligencja, bogaci, chłopci. Kiedy powiedziałem, że u chłopca na obiad leżał bochen chleba na stole, stos blińów i patelnia gorącego tłuszczu, z którym jadano wileńskie blińy - to jak przychodził wieczorem dozorca na apel, to mówili do mnie: - "Palaczok, razkaży aniegdołtu kak u was muzyki kuszali" (Polaku, opowiedz dowcip jak u was chłopci jedli). Oni uważali to za dowcip, nie mogli zrozumieć, jak może leżeć bochen chleba na stole, u nich to było nie do pomyslenia.

Ale wracam do tematu. W koszarach tych przesiadziałem dwa tygodnie. Na stawiane mi zarzuty, jak przynależność do AK, lub ucieczka z obozu nie przyznałem się. Po dwóch tygodniach opuściłem gościnne schronienie, kiedy prowadzono nas do łaźni, skorzystałem z nieuwagi korywienta i uciekłem. Sprzyjała mi ciemna, jesienna noc. Pomimo, że był

to obóz, lecz ja prawie po miesięcznej tulaczce, o głodzie i w strzępach lachmanów, bez przerwy zmarznięty i przeziębiony, tu w obozie nabratem sił i jakby po ciężkiej chorobie, nabratem znowu chęci do życia. Po szczęśliwym opuszczeniu obozu, dobrałem do najbliższych krzaków i po krótkim odpoczynku, udałem się do najbliższej stacji kolejowej. Już nie pamiętam nazwy tej stacji, na której znowu doczepiłem się do wagonu i stojąc między towarowymi wagonami na buforach, w ciągu dwóch dni dojechałem do Wilna. Odległość była niewielka, ale pociąg miał długie przestoje na poszczególnych stacjach.

Kiedy pociąg się zatrzymał przed semaforem, natychmiast zeskokczyłem z buforów i pobiegłem przez tory do Ostrej Bramy, gdzie na kolanach żarliwie dziękowałem Matce Boskiej Ostrobramskiej, że wyprowadziła mnie z tego piekła, inaczej tego obozu nie można było określić. Ale zaraz po modlitwie zorientowałem się, że jest godzina pięta rano i na ulicach jest prawie pustko, nie ma zupełnie przechodniów, a mój wygląd zdradzał moje pochodzenie, dlatego nie mogłem długo pozostawać na ulicy. Zdawałem sobie sprawę, że jak spotka mnie sowiecki patrol jak przed rokiem, to znów trafię do więzienia. Postanowiłem udać się do przyjaciół, których miałem w Wilnie podczas okupacji. Wiedziałem, że już wielu Polaków wyjechało w ramach repatriacji z Wilna do Polski, ale na czyibił trafił, a nóż może jeszcze zastaną.

Po niezwyklej modlitwie w Ostrej Bramie, udałem się w kierunku ulicy Katwaryjskiej i po drodze doznałem dostojnie cudu. Na Zielonym Moście na naszej ukochanej Wilji, spotkałem mojego przyjaciela, z którym rozstałem się kiedy mnie przychwycono na szosie za Mińskiem. Kolega był już w garniturze, jak na tamte czasy zupełnie eleganckim i oświadczył mi, że dzisiaj wyjeżdża do Polski. "A co do ciebie - powiedział - idź na Zarzecze, tam zgłoś się do pani Jagody (ani numeru domu, ani nazwiska tej pani już nie pamiętam), ona da ci dokument, tak zwaną kartę repatriacyjną i pojedziesz do Polski. Spiesz się, może jeszcze zdążysz, bo dzisiaj odchodzi transport".

Natychmiast udałem się pod wskazany adres. Pani Jagoda przyjęła mnie bardzo serdecznie, nakarmiła, dała jeszcze jakiś sweter, przyszykowała kanapki na drogę i sporządziła dokument na nazwisko Tadeusz Kozłowski. Tego samego dnia odprowadziła mnie na dworzec kolejowy, tam porozmawiała z ludźmi, którzy już mieli swój bagaż i dobytek w wagonie. Wprowadziła mnie do wagonu, tam wepchnęła w kryjówkę między szatami i tak ruszyłem do Polski. Jak się później dowiedziałem, pani Jagoda była specjalnie zostawiona przez organizację Armii Krajowej po to, aby nieść pomoc tym wszystkim, którzy wrócą z obozów do Wilna i będą tej pomocy potrzebować. Naturalnie te dokumenty - karty repatriacyjne, były fikcyjne, ale sporządzone bardzo fachowo - identycznie jak oryginalne. Nie pamiętam ile godzin jechałszy do Polski, tylko styszałem jak pasażerowie

przez granicę zbierali między sobą pieniądze na łapówki dla celników, żeby ich zbyt gorliwie nie kontrolowano. Granicę przejechałem szczęśliwie, nawet nie wiedziałem kiedy i o której godzinie. Towarzysze podróży i gospodarze wagonu, zaczęli mnie bardzo intensywnie podkarmiać, w wyniku czego zacząłem puchnąć na całym ciele, powodem tego była prawdopodobnie rapłowna zmiana odżywiania się. Po zatrzymaniu się pociągu w Kętrzynie, wyskoczyłem z wagonu, aby się udać do jakiegokolwiek ośrodka leczniczego. Przypadek zrzucił, że na stacji kolejowej w Kętrzynie spotkałem parę osób dobrze mi znanych z oddziałów Armii Krajowej. Między innymi - adiutanta "Jaremy" dowódcy 3-go Zgrupowania Brygad Partyzanckich Okręgu Wileńskiego Jerzego Banasikowskiego, Jana Nadolnego z 8-ej Brygady "Tura", i moją obecną żonę - Kryślinę Straczycką. Była ona przypadkowo na dworcu, też miała dowód fikcyjny na nazwisko Mieczysława Grajewska i z takim nazwiskiem musiała przyjechać do Polski.

Spoleczeństwo Kętrzyna dowiedziało się od kolejarzy, że ma przyjechać transport ze Związku Radzieckiego, dlatego ludzie gremialnie wyszli na dworzec, aby spotkać repatriantów wileńskich i odszukać znajomych i krewnych. Kolega Nadolny pseudonim "Burza" zaprowadził mnie do swoich rodziców, którzy przyjechali wcześniej i już mieszkali w Kętrzynie, przy ulicy Sikorskiego w rejonie dzisiejszej pralni. Tego domu już dzisiaj nie ma. Tam po kolacji wziąłem kąpiel i poszedłem spać. W nocy zbudził mnie ostry ból żołądka. Kiedy wszedłem do łazienki osłupiałem z przerażenia. Ubranie moje, które zostawiłem przed kąpielą w rogu łazienki na podłodze, wyglądało jakby było pokryte kopcem mrówek, nie były to jednak mrówki, ale kłbowisko wszy. Jedyny mój majątek i bagaż, który przywoziłem ze Związku Radzieckiego. Dopiero po prawie 20-tu latach od daty otrzymania fikcyjnego dowodu ujawniłem się na przelomie 1962/63 roku i powróciłem do swojego rodzowego nazwiska.

Od dawna nosiłam się z zamiarem napisania swoich wspomnień z okresu okupacji na naszych kresowych ziemiach, choć co prawda minęło już pięćdziesiąt lat od tamtych wydarzeń i nie jestem pewna czy dam radę chronologicznie odtworzyć obraz tamtych dni. Pamiętam czerwiec 1941 roku, wybuch wojny niemiecko - rosyjskiej, który ucieszył całe społeczeństwo polskie, a dlaczego to postaram się w paru zdaniach naświetlić. Od 17-go września 1939 roku nasze ziemie wileńskie znalazły się pod okupacją sowiecką, nikt z obywateli polskich nie był pewny dnia ani godziny, ciagle areztowania i deportacje w głąb Rosji, jak to u nas się mówiło "na białe niedźwiedzie", dlatego też wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej powitaliśmy z pewną ulgą. W roku szkolnym 1941/1942 uczęszczałam na tajne komplety w Wilnie, pod koniec 1942 roku rozpoczęły się areztowania naszych wykładowców i w paru wypadkach młodzieży. Muszę tu jeszcze nawiązać do wychowania i postawy naszej młodzieży w okresie międzywojennym. Pokolenie nasze było wychowywane bardzo patriotycznie, mieliśmy wspaniałych pedagogów, którzy uczyli nas prawdziwej historii i potrafili nam wpoić miłość do Ojczyzny, tak że nic dziwnego, iż w okresie wybuchu drugiej wojny światowej, cała nasza młodzież marzyła o walce w obronie utraconej Polski. Naszą dewizą było hasło "Bóg, Honor i Ojczyzna", wszyscy gamęli się do konspiracji. Ja też marzyłam żeby być przydatną, działać a nie siedzieć bezczynnie. Wstąpiłam do Szarych Szeregów, tam zorganizowano dla nas kurs przeszkolenia sanitarnego, chodziłam na kurs chętnie, ale szczerze mówiąc nie widziałam siebie w roli sanitariuszki, byłam zbyt wrażliwa na ból ludzi, a widok krwi przyprawiał mnie o mdłości. We wrześniu 1943 roku wychodzi w teren Gracjan Fróg, późniejszy "Szczerbiec" z dwudziestoma chłopakami, między innymi wychodzi również przyjaciel mojego brata Olek Borowski pseudonim "Gruby". Od chwili wymarszu tej małej grupy byłam związana z nimi na codzień, robiliśmy dla nich ciepłe szaliki, rękawice, nauszniki, bo zbliżała się zima. "Gruby" od czasu do czasu wpadał do Wilna, wręczał mi listy do rodzin chłopaków, które musiałam doręczać pod wskazany adres. Pewnego dnia przyjechał "Gruby" z kolegą "Monem", który czyszcząc broń przestrelał sobie rękę. Komendant w obawie, że może dojść do zakazenia odesłał go do Wilna, otrzymałam polecenie chodzenia z nim na opatrunki. Porucznik Gracjan Fróg ze swoim małym oddziałem zaszył się w rejonie Ornian, Suzan i Dubinek na północ od Wilna. Kontakt z oddziałem był surowo zakazany, dlatego na razie nie miałyśmy żadnej łączności. Zajmowałyśmy się magazynowaniem leków i środków opatrunkowych, które otrzymywałyśmy ze szpitali niemieckich, gdzie pracowały nasze starsze koleżanki. W jednym z takich szpitali pracowała



moja siostra Lucyna Mackiewiczówna i Halinka Kurzysówna, one to zbierały dla nas różnego rodzaju leki i środki opatrunkowe, bixy i sterylizatory. Niemieckie władze okupacyjne masowo wywoziły młodzież na roboty do Niemiec, dlatego też każda z nas musiała gdzieś pracować, żeby być wyreklamowaną od wywózki. Ja byłam zatrudniona w biurze zawiadowcy drogowego w Nowowiejce. Pracowali tam sami Polacy, miałam tam dostęp do pieczętek służbowych i biletów kolejowych z nadrukiem "nur fur dienstwecke" czyli do przejazdów służbowych. Do moich obowiązków służbowych między innymi należało zbieranie "ausweisów" robotników kolejowych i ich stemplowanie, natomiast podpisywał je pan Tomaszewicz zawiadowca drogowy, a co kwartał te ausweisy stemplował okrągłą pieczęcią majster - zawiadowca stacji kolejowej, Niemiec o nazwisku Nietz. Pewnego dnia przyjechał "Gruby" z "Turmontem" i przywozą mi cztery ausweisy, które muszę podstemplować, są im potrzebne, żeby mogli swobodnie się poruszać. Poprzedniego dnia stemplowałam dokumenty naszych robotników i dlatego łatwiej byłoby mi przemycić te cztery przy czterdziestu, niż iść teraz z czterema, ale w sukurs przyszło mi szczęście. Do naszego odcinka drogowego zostali przysłani robotnicy z Orszy, którzy mieli jeszcze nie podstemplowane ausweisy. Zebrałam szybko ausweisy robotników z Orszy i dołączyłam te cztery ausweisy od "Grubego" i poszłam do Bahnmeistra Nietza. Na wstępie wyjaśniłam mu, że przynoszę dodatkowo ausweisy robotników z Orszy i cztery ausweisy robotników skierowanych do nas przez "BW" Włno. Nietz nie podejrzewając z mojej strony podstępny - podstemplował wszystkie. Sama po wyjściu z gabinetu Nietza byłam zdziwiona, że tak płynnie rozmawiałam z nim po niemiecku. Natychmiast przekazałam papiery "Grubemu", żeby mogli swobodnie poruszać się po Włlinie.

Nadeszła wiosna, coraz więcej miałyśmy zajęć, wprowadzałyśmy grupy chłopców poza Włno do naszych punktów zbornych, które mieściły się przy Czarnym Trakcie. Sabina nawiązała łączność z organizacją TOT i warsztatami samochodowymi i stamtąd rekrutowała chłopców do oddziału. Oddział porucznika Fróga otrzymał nazwę "Szczerbca" jako 3-cia Brygada Armii Krajowej. Po reorganizacji "Szczerbiec" zmienił swoje miejsce postoju i przeniósł się w rejon Turgiel. Pierwszy raz poszłyśmy z Sabiną do oddziału w marcu 1944 roku, miejsce postoju znajdowało się wtedy we wsi Malachowce koło Turgiel. Już parę kilometrów za Rudominem znajdował się teren, na który nie wkroczył żaden Niemiec ani Litwin, dlatego Turgiele nazwano polską stolicą partyzantki. Była to dla nas wielka frajda znaleźć się wśród swoich w woińskiej Polsce, gdzie śpiewano polskie piosenki patriotyczne, gdzie w kościele parafialnym rozbrzmiewała pieśń "Boże, coś Polskę". Następna nasza wyprawa do oddziału, to wyprawa trzema samochodami ciężarówkami w dniu 3-go maja 1944 roku. Samochody te

zostały wprowadzone przez naszych chłopaków z niemieckich warsztatów samochodowych. Uszyliśmy z Sabiną biało-czerwone flagi i z bijącym sercem oczekiwaliśmy na nich przy ulicy Byliny w Włlinie. Szczęście sprzyjało, przyjechali, wskoczyliśmy z Sabiną do pierwszego samochoду i ruszyliśmy w kierunku Lipówki. Jeszcze tylko jedna kontrola przy wylocie z Włlina, ale i tu poszło gładko, papiery na próbna jazdę nie wzbudziły podejrzeń. Droga była wolna, za Rudominem wyciągnęliśmy nasze biało-czerwone flagi, aby przypadkowo spotkany nasz oddział partyzancki nie wziął nas za Niemców i nie oslrzelal. W Turgielach powitano nas entuzjastycznie. Serce się radowało patrząc na udekorowane Turgierle polskimi flagami. Na uroczystość 3-go Maja zjechały wszystkie oddziały partyzanckie stacjonujące w tym rejonie. Uroczystości rozpoczęły się mszą świętą w kościele w Turgielach, po mszy odbyła się defilada wszystkich oddziałów, obiad u sióstr zakonnych w klasztorze, potem gry i zabawy na łące za kościołem. Niechętnie wracaliśmy do Włlina do tej szarej okupacyjnej rzeczywistości. Coraz więcej było chętnych młodych ludzi, którzy chcieli wstąpić w szeregi partyzanckie, a tym samym stały się częściej nasze wyprawy na Czarny Trakt, bo przecież ktoś musiał tych chłopców doprowadzić do oddziału. Doszła do nas wiadomość z oddziału o wykonanym wyroku śmierci na dwóch naszych partyzantach "Burzy" i "Rysiu", tacy wspaniali chłopcy, nie mogliśmy z Sabiną zrozumieć dlaczego i do dzisiaj ta sprawa dla mnie jest niejasna. Drugą przykrą wiadomością jaką otrzymaliśmy to bitwa pod Murowaną Oszmianką i sześciu poległych tam naszych kolegów partyzantów, a wśród nich Stanisław Lemieszek pseudonim "Kawaler", szwagier "Grubego", a brat mojej przyjaciółki. Powstał dylemat jak zawiadomić matkę "Kawalera". Postanowiliśmy z Jadzią, siostrą "Kawalera" nic matce nie mówić o śmierci syna, musieliśmy się same najpierw oswoić z tą tragiczną wiadomością. Ale serce matki wyczuwało, pewnego dnia wpadłam na chwilę do Jadzi, a matka Jadzi pyta: czy mam jakie wiadomości od syna, a ja niewprawnie klamać mówię, że narazie żadnych wiadomości nie mam, bo oddział "Szczerbca" przeniósł się w inny teren i nie mamy żadnych wieści, a ona na to: -"Ty coś ukrywasz, ja mam złe przeczucie - nasz Stach nie żyje". Ja oniemiałam, lzy zakręciły mi się w oczach, Jadzia nie wytrzymała i wyznała matce okrutną prawdę. Matka Jadzi stanęła jak wryła i patrząc na nas powiedziała spokojnie: -"Nie placzcie, Stach zginął za Polskę i wielu jeszcze zginie". Po tych słowach wyszła do drugiego pokoju zamykając za sobą drzwi. Muszę tu nadmienić, że matka Jadzi i "Kawalera" była z pochodzenia Rosjanką. Rozpacz matki nie miała granic, zdumiewające jest jednak to, że Rosjanka wychowała wszystkie dzieci w duchu polskim i bardzo patriotycznie. Byłam zaskoczona jej słowami, niejedna matka Polka nie zdobyłaby się na to. Ojciec Jadzi będąc jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej w Rosji ożenił się i po rewolucji przywiózł ją do

11/25
Polski, mieli pięcioro dzieci: cztery córki i jednego syna, który urodził się po śmierci ojca w 1926r.

W drugiej połowie maja 1944 roku powstała reorganizacja. Władysław Kitowski pseudonim "Grom" zawodowy porucznik z 13-go Pułku Ułanów w Nowowiejce, zostaje przeniesiony wraz z plutonem kawalerii do Sztabu i awansowany na Komendanta ORKO (Oddział Rozpoznawczy Komendy Okręgu). Ja byłam przydzielona do sekcji pani Marii Landsberg pseudonim "Margaryta", która już do końca była moją szefową. Nasza główna kwatery konspiracyjna mieściła się w Rejkanciszkach na działkach wojskowych u państwa Polników. Pan Polnik - oficer rezerwy Wojska Polskiego w tym okresie przebywał w Anglii, a majątkiem zarządzała siostra z mężem o nazwisku Ferensowie. Do naszej grupy łączniczek podlegających "Margarycie" należała między innymi: Hanka Polnikówna ps. "Hania" i Janka Macioszek ps. "Jaśka". Oddział nasz przyjął barwy 13-go Pułku Ułanów. "Margaryta" zobowiązała się wyszykować emblematy w barwach 13-go Pułku dla całego oddziału, w związku z tym miałyśmy sporo roboty, farbowałyśmy materiały na kolor amarantowy i szyłyśmy emblematy. Oddział rozrastał się błyskawicznie, dlatego odczuwano się duży brak sioł, do naszych obowiązków należało również wyszukiwanie sioł w terenie. Praca na kolei i praca w konspiracji kolidowały ze sobą, dlatego zrezygnowałam z pracy na odcinku drogowym i przemeldowałam się do Wilna. Ausweis miałam podstemplowany, dlatego mogłam poruszać się bezpiecznie. W dniu 23 czerwca 1944 roku zjawił się "Gruby" i oznajmił, że 25-go czerwca mamy stawić się w Dziewieniszkach. Ja otrzymałam od "Margaryty" polecenie zabrać siodła, które były zakonspirowane w Kolonii Wileńskiej, zdobyć kwiaty i razem z plutonowym "Kmieciem", który w tym czasie przebywał w Nowowiejce udać się do Dziewieniszek. "Margaryta", "Hanka" i "Janka" miały zabrać się z "Grubym". Nasza stała trasa z Rejkanciszek prowadziła drogą polną do Czarnego Traktu, potem drogą łącznikową do Szosy Oszmiańskiej. Po przekroczeniu Szosy Oszmiańskiej byliśmy już na swoim terenie wolnym od okupanta. Kiedy konie nasze były zmęczone, "Kmieć" zajeżdżał do najbliższego gospodarstwa i dokonywał podmiary koni, gospodarze zamieniali konie chętnie i nie stawiali sprzeciwu. Przejeżdżając przez wieś Klewice zostaliśmy zatrzymani, okazało się, że w Klewicy stacjonuje Inspektorat "F" d-a Trzeciego Zgrupowania major "Jarema". Po krótkiej rozmowie nakarmiono nas i po wskazaniu trasy na mapie zyczone nam szczęśliwej podróży. Po południu dobrnęliśmy do Dziewieniszek na wygon, gdzie stacjonował nasz oddział. Miło było powitać naszych chłopców, prawie wszystkich ich znałam, byli mi drodzy jak bracia. Przyjechała również "Margaryta" z "Hanką" i "Janką", zajęłyśmy się przyszywaniem emblematów i porporczyków, ponieważ 27 czerwca miała się odbyć wielka uroczystość. Sztab generała "Wilka" stacjonował już w szkole w Dziewieniszkach. Uroczystość rozpoczęła się 27 czerwca

1/26
o godzinie 10-tej mszą polową, potem defilada wszystkich oddziałów stacjonujących w Dziewieniszkach i okolicy, złożenie wieńców na grobach partyzantów, którzy polegali pod Trabami, a pochowani zostali przed kościołem w Dziewieniszkach. Podczas defilady nasz oddział prezentował się pięknie, wszyscy w jednokowych mundurach z emblematami i porporczykami. Komendant "Grom" był zadowolony, otrzymał pochwałę od generała "Wilka". Po uroczystościach wróciłyśmy na wygon i uczestniczyłyśmy w przyjęciu imieninowym komendanta "Groma".

Pominęłam jedno wydarzenie, ołóż 26 czerwca "Hanka", "Janka" i ja składałyśmy przysięgę, ja co prawda składałam już przysięgę na kursie sanitarnym Szarych Szeregów, ale komendant "Grom" uznał, że nie zaszkodzi powtórzyć. Nie zapomnę chyba tego nigdy, jak powtarzając słowa przysięgi czy cisnęły mi się do oczu, nie mogłam ich powstrzymać, wzruszenie było tak wielkie. Szybko mijal czas przyjemnie spędzony wśród swoich na kawałku wolnej Polski, a my musiałyśmy wracać do Wilna jak już przedtem wspomniałam, do tej szarej okupacyjnej rzeczywistości. Po powrocie do Wilna zastaliśmy zupełnie inną sytuację niż przed wyjazdem, panował tam istny rozgardiasz, zbliżał się front i zmuszał okupanta do ewakuacji szpitali i urzędów. Ponieważ personel sanitarny średni i niższy składał się z ludności polskiej, dlatego korzystając z zaistniałego bałaganu, przy pomocy polskiego personelu udało się nam wyszabrować ze szpitala wojskowego w Nowowiejce sporą ilość sprzętu sanitarnego, leków i środków opatrunkowych. Te wszystkie leki i środki opatrunkowe przetransportowałyśmy do Kolonii Wileńskiej, gdyż tam mieścił się główny magazyn sprzętu medycznego. W czasie akcji "Ostra Brama" wyżej wspomniany sprzęt medyczny bardzo nam się przydał przy organizowaniu szpitalika polowego w Kolonii Wileńskiej w domu państwa Szczepańskich. W dniu 6 lipca 1944 roku została wysłana przez "Margarytę" z łącznością w celu doprowadzenia dwóch partyzantów do oddziału. Partyzanci ci mieli dostarczyć dwa siodła zdobyte ostatnio przez "Margarytę", dlatego też musiałyśmy wybrać najbardziej bezpieczną drogę.

Wyszłyśmy z Nowowiejki w godzinach popołudniowych, szliśmy drogami polnymi między łanami zbóż, zbliżając się do Rejkanciszek wyszłyśmy na drogę polną, którą znałam jak własną kieszeń, byłam zbyt pewna, że na tej drodze nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Tymczasem zostaliśmy znienacka zaskoczeni przez oficera ukraińskiego, który wyskoczył ze zboża z pistoletem w ręku i krzyknął: "Hende hoch". Pierwsze pytanie jakie padło z jego ust to skąd i dokąd idziemy. Szybko opanowałam się i jak mogłam najskładniej po niemiecku odpowiedziałam - idziemy z Nowowiejki do rodziny na wsi, gdyż boimy się bombardowania, które miało miejsce poprzedniej nocy. Pamiętam dokładnie, zapytał co niesiemy w tych workach, powiedziałyśmy mu, że osobiste rzeczy. Duszę miałam na ramieniu - co będzie jak kaze pokazać zawartość worków.

Okazało się, że on miał większego stracha od nas, kazał nam iść dalej przed siebie nie oglądając się do tyłu, szybko przelumaczyłam to chłopcom, a sama ukradkiem zerkiałam bokiem w obawie, że może nam wpakować kulę w plecy. Ze zdziwieniem sposztrzęgam, że Ukraińca już nie ma, znikł tak nagle jak nagle się pojawił, powiedziałam to chłopcom i dał mi nura w las, który ukazał się przed nami. Zerkając w miejsce, w którym znikł Ukraińiec ruszyliśmy skrajem lasu w dalszą drogę, gdy zrównaliśmy się z posesją państwa Kozioł-Poklewskich zobaczyliśmy w lasku cały tabor wojskowy, który wycofując się Czarnym Traktem zjechał na odpoczynek, a ten Ukraińiec, który nas zatrzymał, okazało się że był ich dowódcą. Idąc dalej do Czarnego Traktu spotkaliśmy Renatę Baranowską ps. "Baśka" łączniczkę 6-tej Brygady, ostrzegłam ją żeby się miała na baczności i ominęła posesję państwa Kozioł-Poklewskich. My natomiast mieliśmy jeszcze szmat drogi, musieliśmy przejść szosę oszmińska, na której panował dość ożywiony ruch wycofujących się wojsk niemieckich, przez co straciliśmy trochę czasu. Gdy dotarliśmy do Sz wajcar była już szarówka, tu właśnie miałam otrzymać wiadomość gdzie stacjonuje nasz oddział. Natychmiast skontaktowałam się z panem Kuleszą, który miał mi przekazać wiadomość - okazało się, że pan Kulesza nic nie wie, ponieważ łącznik jeszcze nie przybył. Na razie zostaliśmy zaproszeni na kolację, a po kolacji ja musiałam cierpliwie czekać na przybycie łącznika. Sz wajcary tętniły życiem, spotkałam tam mnóstwo kolegów z Włina, którzy dopiero tego dnia wyszli w teren i czekają na swój przydział. Łącznik zjawił się dopiero po północy i okazało się, że mamy polecenie udać się do Białego Dworu. Natychmiast ruszyliśmy w drogę, gdy dotarliśmy do Białego Dworu był świt, niestety tam już naszego oddziału nie było, tam też dowiedzieliśmy się o akcji "Ostra Brama", w związku z tym zakreśliśmy do Rejkanciszek z nadzieją uzyskania tam wiadomości o naszym oddziale.

Gdy dochodziliśmy do posesji państwa Kozioł-Poklewskich zobaczyliśmy rozbitą tabor ukraiński, domyślił się, że nasze oddziały przechodziły tą drogą w kierunku na Włino i dokonały jego rozbicia. W Rejkanciszkach panował nastrój euforii, wszyscy cieszyli się z klęski okupanta niemieckiego, jakby nie zdając sobie sprawy, że nadchodzi drugi okupant. W Rejkanciszkach o naszym oddziale również nie otrzymaliśmy wiadomości, dlatego zdecydowałam zostawić chłopców i cały nasz bagaż, a sama ruszyłam do Kolonii Włieńskiej, skąd już dochodziły odgłosy strzałów i detonacji. Kolonia Włieńska tętniła życiem, całe społeczeństwo żyło już, rozpoczęłam Powstaniem Włieńskim, byli już zabici i ranni partyzanci Armii Krajowej. Natychmiast zgłosiłam się do księdza Sołtana, który był proboszczem w kościele w Kolonii Włieńskiej. Ksiądz już organizował szpital polowy w domu państwa Szczepańskich, przywieźliśmy natychmiast sprzęt sanitarny, leki i środki opatrunkowe, które znajdowały

się w moim posiadaniu. Otrzymał mi polecenie ściągnięcia personelu sanitarnego i lekarzy medycyny, a byli to: dr Łobzowa, dr Borowski, dr Grossberg i dr Erdman, ściągnęliśmy również studentów medycyny mieszkających w Kolonii, a byli to m.in.: Aleksander Dawidowicz, Stanisław Michałowski, Włada Jeremicz i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Ranni leżeli na podłogach, trzeba było natychmiast starać się o łóżka, koce, sienniki i bieliznę pościelową. Społeczeństwo Kolonii Włieńskiej zdało egzamin na piątkę, utworzono grupy sanitarne, które znosiły rannych z pola bitwy, inne grupy dziewcząt zwoziły poległych żołnierzy. Muszę tu wymienić koleżanki, które brały czynny udział razem ze mną, a więc Halina Kurzys, Lucyna Uksyjewicz, Alina Woronowicz, Anna Halmutówna, Bogumiła Baranowska, Hanna Polnikówna, Julia Soroko, moja siostra Lucyna Mackiewiczówna, "Kozia" i wiele jeszcze innych dziewcząt, których nazwisk już nie pamiętam, przepraszam, pominięłam dwie panny Koperkiewiczówny: Halinę i Janinę. Po uporaniu się z kłopotami typu sanitarnego, zmarła pani Szczepańska, która odstąpiła swój dom pod szpitalik, mówi do nas: - "Dziewczynki, a czym my będziemy żywić rannych?". Nie było rady - trzeba było iść na żebry, wzięliśmy z "Kozą", której nazwiska nie pamiętam, kosze i poszliśmy od domu do domu, każdy dzielił się z nami resztkami swoich zapasów, tak że po paru godzinach wróciliśmy z pełnymi koszami. Nie pamiętam czy wspominałam o tym, że od paru miesięcy mieszkaliśmy już w Kolonii Włieńskiej u mojej koleżanki Wandy Tumas przy ul. Krańcowej. Ponieważ poczułam, że jestem głodna, pojechałam rowerem do domu, żeby się posilić, przejeżdżając przez szosę, zobaczyłam wóz taborowy płaczący się po szosie bez furmana, byłam pewna, że jest to wóz któregoś z naszych oddziałów. Dlatego szybko zatrzymałam konia, wrzuciłam rower na wóz i przyjechałam na nasze podwórko z myślą odnalezienia właściciela wozu. Gdy wjeżdżałam na podwórko, wyszedł z domu mój Ojciec i pyła skąd wzięłam ten wóz, bo on przed piętnastoma minutami widział dwóch Niemców jadących tym wozem, a ja mu na to, że to niemożliwe, to jest na pewno nasz wóz taborowy. Po sprawdzeniu zawartości wozu okazało się, że Ojciec miał rację, był to rzeczywiście wóz porzucony przez Niemców na szosie, a dwaj niemieccy żołnierze, których widział mój Ojciec, uciekli do pobliskiego lasu i tam się ukryli. Jakże ogromna była moja radość, gdy po sprawdzeniu zawartości okazało się, że wozie pod słomą leżało ówczarstwo ubitego woju i dwie skrzynki słoniny - była to wte dy wspaniała zdobycz. Z miejsca skoczyłam rowerem do pani Szczepańskiej podzielić się tą wiadomością. Będziemy mieli czym żywić nie tylko rannych, ale i głodnych żołnierzy Armii Krajowej, którzy po nocnym marszu na akcję "Ostra Brama" i walce pod Włinem odpoczywali w Kolonii Włieńskiej. Wzięłam jednego chłopca z wózkiem i pojechałam, żeby przywieźć naszą zdobycz do szpitalika. Ojciec mój w między czasie wyprzągnął konia, a ponieważ nie było go gdzie paść, porozumiał się z panem

II/29

Stasiem Bartoszewiczem, mężem mojej koleżanki Wandy, u której mieszkaliśmy. Pan Bartoszewicz zobowiązał się zaprowadzić tego konia na działki swoich rodziców - tam go będzie pasł, a jak będzie potrzebny to go będzie można zabrać. Rano następnego dnia okazało się, że na Dolnej Kolonii w zbożu są polegli partyzanci, trzeba było pojechać i przywieźć ciała poległych żołnierzy do kościoła. Posialiśmy dwóch chłopców do pana Bartoszewicza na działki po konia i wóz, okazało się, że pan Bartoszewicz im konia nie wydał, musiałam sama pojechać, wyklócić się i zabrać konia, którego chciano już sobie przywłaszczyć. Pojechałam z Tadzikiem Malawko i Leszkiem Szczepańskim na Dolną Kolonię po poległych żołnierzy. Przywieźliśmy trzech, pamiętałam pseudonim tylko jednego, był to "Sokół" z 8 Brygady "Tura". Wszyscy zostali pochowani przez księdza Soltana na prowizorycznym omentarzyku za plotem plebanii na Górnej Kolonii. Gdy się zjawiałam w szpitaliku u państwa Szczepańskich, doktor Polkowski przy spotkaniu odezwał się do mnie w ten sposób: "Dziewczyno, ty żyjesz?". Zaskoczyło mnie to pytanie, okazało się, że ktoś puścił kaczkę, że jakaś zabłąkana kula trafiła mnie na Dolnej Kolonii. Odpowiedziałam doktorowi, że mnie kule omijają, gdyż noszę ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej i obrazek Opatrzności, który otrzymałam od ks. Soltana. Doktor skwitował to uśmiechem i polecił mi udać się do majątku Czama, gdzie mieściła się czołwka sanitarna Armii Krajowej i przywieźć nici chirurgiczne i kałgut potrzebne do natchmistej operacji. Nie tracąc czasu ruszyłam w drogę przez Rejkanciszki, jadąc między łanami zboż dotarłam do Czarnego Traktu i wsi Doliny, a tu sztuczki niemieckie sięją pogrom na nasze jednostki partyzancie wycofujące się spod Wilna. Teren odkryły, parę krzaków bzu rosnącego przy drodze, nie dają dostatecznego schronienia wozom sanitarnym z Batalionów Lidzkich, które zatrzymały się tam dla opatrzenia rannych żołnierzy. Muszę się przyznać, że miałam solidnego stracha, ale ufną w swoje talizmany, wierzyłam, że nic mi się złego nie stanie. Po nalocie sztukasów w rozmowie z sanitariuszkami zorientowałam się, że nie mają zielonego pojęcia, gdzie jest najbliższa czołwka sanitarna. Doprowadziłam wozy sanitarne do majątku Czama, gdzie lekarze zajęli się natchmiami rannymi, a ja po otrzymaniu nici i kałgutu wróciłam do Kolonii Wileńskiej. Wiadomości o naszym oddziale nie było i nie miałam pojęcia gdzie ich szukać, poza tym czułam, że jestem potrzebna w Kolonii Wileńskiej. Trzecia Brygada "Szczerbca" po stoczonych bitwie z pociągami pancernym niemieckim, przekroczyła tory kolejowe w Kolonii Wileńskiej i zatrzymała się na Belmontcie, dochodziły od nich nie potwierdzone wiadomości, trzeba było pójść na Belmont i zorientować się w sytuacji. Rano o świcie ruszyłam na rozpoznanie, ubrałam szaro-zielony nieprzemakalny płaszcz (przyplaciłam ten niefortunny strój zapaleniem płuc). Rano kiedy wychodziłam z domu było zimno, ale biegnąc między krzakami spociłam się i zjęłam płaszcz,

11/60

odczułam to dopiero wieczorem w domu. Z Belmontu wróciłam z dobrą wiadomością - rannych u "Szczerbca" nie było, część Oddziału z por. "Szczerbcem" walczy pod Wilnem razem z wojskami radzieckimi, a część odpoczywa na Belmontcie. Po powrocie z Belmontu otrzymałam wiadomość, że nasz oddział stacjonuje w majątku Woikarabiszki, natchmiami udaliśmy się do Woikarabiszek, tam spotkałam Barbarę Dumnicką ps. "Aleksandra" i wiele mi znanych z siatki osób, które po akcji "Ostra Brama" dołączyły do naszego Oddziału. Musiałam zostać w Woikarabiszkach, ale stan mojego zdrowia pogarszał się błyskawicznie, gdyż przy głębszym oddechu odczuwałam ostre kłucie w płucach. Z powodu coraz gorszego samopoczucia zwróciłam się do Komendanta z prośbą, aby mnie zwolnił na parę dni, aż się wykuruję. Komendant przychylił się do mojej prośby dał mi samochód ciężarowy i polecił zabrać z czołwki sanitarniej w Antoniszkach rannych żołnierzy. Natchmiami udaliśmy się do Antoniszek, tam przekazałam polecenie Sztabu doktorowi Holakowi, który wspólnie z trzema lekarzami wybrał ciężko rannych, którzy wymagali leczenia szpitalnego i odpowiednich warunków, a byli to: "Grodniak" po amputacji obu nóg, "Jambur", "Burza" z 8-ej Brygady "Tura", "Jasirzap" z Batalionów Lidzkich i jeszcze kilku partyzantów, których pseudonimów nie pamiętam. Do transportu rannych oprócz mnie były przydzielone jeszcze dwie sanitariuszki Antonina i Jagoda. Po przewiezieniu rannych żołnierzy do Kolonii Wileńskiej i rozlokowaniu ich w szkole, która była już przygotowana na przyjęcie rannych, wróciłam do domu gdyż czułam się fatalnie, miałam wysoką temperaturę. Rodzice natchmiami wpakowali mnie do łózka i zaaplikowali bańki. Bańki stawiał mi mój Ojciec, trzeba przyznać, że robił to fachowo. Noc była koszmarna, przeżyłcia tych kilku dni i zmęczenie dały upust w koszmarnych snach, nad ranem temperatura spadła i zasnęłam spokojnym snem, gdy obudziłam się było już południe. Moje samopoczucie było dobre, wstałam z łózka, umyłam się i pomimo interwencji rodziców poszłam do szkoły. Dzień był upalny, a ja ubrana w cienką białą bluzkę, przez którą przeświecały czarne placki po bańkach. W szkole zastałam dwie pielęgniarki Antoninę i Jagodę, które wprowadzały już swoje porządki. Ranni żołnierze dowcipkowali, byli zadawoleni z wygodnych łóżek i czuli się tutaj dobrze. Ludność Kolonii brała czynny udział w pomocy rannym żołnierzom, znoszono artykuły spożywcze, owoce a nawet i kwiaty. Po zorientowaniu się, że im nic nie brakuje udaliśmy się do szpitalika polowego w domu państwa Szczepańskich. Na progu tego szpitalika spotkałam moją starszą siostrę Lucynę, która też tam pracowała w roli pielęgniarki i ona właśnie przekazała mi smutną wiadomość o zgonie partyzanta, młodego chłopca z 3-ej Brygady, którego przywoziłam do szpitalika z posrżaniem brzucha. Smutno mi się zrobiło, poszłam w stronę lasu za plebanię ukoić swój smutek. Wszysytko wydało mi się takie niesprawiedliwe, dlatego lacy młodzi chłopcy muszą odchodzić z tego

11/31

świata, dlaczego naród polski ponosi takie ofiary w imię wolności. Idąc tak ścieżką i medytując spozostęgam kolegów z 3-ej Brygady "Szerbca", patrz dalej a na pniu siedzi Leszek Kukieta ps. "Foka" i flegmatycznie obcina szczyronkiem nogawkę od swoich spodni. Na moje pytanie: - "Foka, co ty robisz?", tak odpowiedział: - "Wiesz, chyba zwarłowałem, myślałem że jestem poważnie ranny w nogę, a okazało się, że tylko lekkie draśnięcie uda, a nogawka spodni ucięta i jak ja teraz będę wyglądał". Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, postaram się temu zaradzić. Zaprowadziłam "Fokę" do naszego domu, siostra moja Lucyna zrobiła mu opatrunek, a ja postarałam się o spodnie. Przez nasz dom w Kolonii Wileńskiej przy ul. Krańcowej przewinęło się mnóstwo kolegów partyzantów zwłaszcza w okresie rozbrojenia.

Przypomniał mi się taki incydent: otóż jeden z kolegów schował granat (jajkowy czeski) w przedpokoju do dusznika kominowego, gdzie wybierało się sady. W naszym domu przebywała żona partyzanta Aleksandra Borowskiego ps. "Gruby" z 11-to miesięczną córeczką Lucynką, która wspaniale raczkowała. Otóż pewnego dnia Lucynka raczkując w przedpokoju zainteresowała się kółeczkiem od dusznika, pociągnęła za kółeczko i otworzyła dusznik, sięgnęła rączką dalej, wyciągnęła granat i już zaczęła nim obracać, całe szczęście, że ja w tym czasie weszłam do przedpokoju, natychmiast wyrwałam dziecku granat i jak oparzona wyskoczyłam na podwórko, tam ochłonęłam i zorientowałam się, że zawieszka była jeszcze mocno dokrecona. Schowałam tym razem granat do składowiska pod podłogą, gdzie dzieci nie miały dostępu i wróciłam do domu.

Po zdobyciu Wilna, ja z Jagodą wybrałyśmy się zdobyczym naszym koniem do Wilna po broń i amunicję pozostawioną przez Niemców, przywiozłyśmy całą furę broni, koń ledwo ciągnął. W Markucjach zatrzymał nas patrol sowiecki i chciał nam podmienić konia, ale jakoś udało nam się go przekonać, tłumacząc że nasz koń jest zmęczony i daleko na nim nie zajada, a o kilometr dalej na łące pasą się ładne konie i tam sobie wymienią, naturalnie był to błąd. Po przywiezieniu broni do Kolonii miałyśmy kłopot ze zmagazynowaniem jej, zdecydowałam że na razie złożymy w naszym składziku na opał. Następnego dnia nie myślałyśmy już o broni, gdyż otrzymaliśmy rozkaz, żeby wszyscy partyzanci stawili się na drodze prowadzącej do Wilna pod Belmontem, żeby oficjalnie jako Armia Krajowa wkraczać do Wilna. Staliśmy tak pod Belmontem od rana do obiadu - okazało się, że władze sowieckie zabroniły oddziałom Armii Krajowej wkraczać do Wilna, aby wziąć udział w defiladzie. Musieliśmy się rozjechać. Był to jeden z najboleśniejszych momentów jaki przeżyli nasi żołnierze. Następnego dnia ukazał się artykuł w prasie, że Wilno zostało zdobyte przez Armię Radziecką, żydowską i litewską partyzantkę, ani słowa

11/32

o naszych żołnierzach, o setkach poległych żołnierzy Armii Krajowej w akcji "Osira Brama". Żołnierze Armii Krajowej, którzy indywidualnie udali się do Wilna, aby odwiedzić swoje rodziny, byli rozbrajani przez partyzantów rosyjskich i żydowskich, którzy w mig pojawili się na ulicach odstawiając wielkich bohaterów, co naturalnie nie wróżyło nic dobrego.

Po powrocie do domu zastaliśmy u nas Barbarę Dumnicką ps. "Aleksandra", która była w Wilnie i w powrotnej drodze wpadła do mnie. Przekazałam jej wiadomość o przywiezionej broni i amunicji z Wilna, którą na razie trzeba było zabrać do Wolkarabiszek i zamelinować. Umówiliśmy się w ten sposób, że jutro uzgodni z "Gromem", przyśle samochód po broń i ja zabiorę się razem do oddziału. Było to 16 lipca 1944, od samego rana czekam na samochód, nie wychodzę z domu i nic nie wiem co się dzieje. Nie pamiętam, już kto to był i kto to przyniósł tę tragiczną wiadomość o rozbrajaniu naszych żołnierzy przez Armię Czerwoną i aresztowaniu d-cy Okręgu Wileńskiego generała Aleksandra Krzyżanowskiego ps. "Wilk". Nie dowierając pogłoskom udalam się do szpitalika i zastalam ogólnie zamieszanie, jeszcze nie wierząc mówię, że wczoraj była u mnie Barbara Dumnicka i mówiła, że generał "Wilk" był na spotkaniu u sowieckiego generała i że na tym spotkaniu doszło do porozumienia. Generał Czerniakowski d-ca 3-go Frontu Białoruskiego wyraził zgodę na utworzenie polskiej samodzielnej 19-ej Dywizji i ze idziemy razem prac Niemców. Dlaczego nastąpiła taka zmiana? Doktor Łobzowa skwitowała to jednym zdaniem: - "Im wierzyć nie wolno". W związku z zaistniałą sytuacją musieliśmy szybko zająć się likwidacją szpitalików, żeby rannych rozlokować po melinach, a tych którzy wymagają opieki lekarskiej na codzień, przetrzeć do Wilna do szpitala Czerwonego Krzyża. Zaczęła się bieganina, trzeba było znaleźć miejsce dla wszystkich rannych żołnierzy. Przy pomocy ogromnego zaangażowania społeczeństwa Kolonii i pobliskich okolic szpitala polowe udało się zlikwidować. Transportem rannych do szpitala w Wilnie zajęli się lekarze. Ustalono też opiekę sanitarną nad rannymi, którzy wymagali takiej opieki na codzień. Następnego dnia zjawiała się u mnie "Margaryta" z partyzantem "Johannem". Był to alcazcyk, który w 1943 roku zdezerterował z armii niemieckiej i po odbyciu okresu próbnego został zaprzysiężony i wcielony do 3-ej Brygady "Szerbca". Powstał teraz niemały problem, trzeba było go przechować, u nas nie mógł pozostać bo vis a vis naszego domu kwatrowali ruscy "kamandzirowi", ale zanim znalazłam jemu melinę, "Johann" mieszkał u nas pod werandą, wieczorem dopiero wylał i prosiwał swoje kości. Po paru dniach znalazłam mu melinę w Nowowiejsce, trzeba było go odtransportować pociągiem. Obwiązałam mu głowę bandażem i jako kontuzjowanego wiozę go do lekarza. Przystaliśmy na przystanek kolejowy i czekamy na pociąg, posadziliśmy "Johanna" na ławce i powiedziałam mu wcześniej, że pod żadnym pozorem nie wolno mu się odzywać, tylko na moment oddaliśmy

1/33

się, żeby zamienić parę słów z koleżanką i widzę jak do "Johanna" podszedł ruski żołnierz i coś do niego mówi, a "Johann" rozpaczliwie gestykuluje rękoma, natychmiast podbiegam i wytłumaczyłam Ruskiemu, że to jest mój brat kontuzjowany, a ja go wiozę do lekarza. A Ruski chciał po prostu porozmawiać - ale trafił W Nowowiejsce okazało się, że "Johann" może pozostać tylko parę dni, zawiadomiłam o tym "Margarytę" i powiedziałam jej, że jest bardzo ciężko znaleźć melinę dla takiego Niemca, który od 1943 roku był w partyzancie polskiej. W związku z tym porucznik Władysław Kłowski ps. "Grom" Komendant ORKO polecił wysłać "Johanna" do "Jura", który w tym czasie przebywał ze swoim plutonem w Puszczy Nałibockiej. Po paru dniach "Mik" z "Johannem" wyruszyli do Puszczy Nałibockiej, aby zameldować się u por. "Jura". Niestety do oddziału dotarli tylko "Johann", natomiast "Mik" wpadł w ręce ruskich "istriebieli" i do dnia dzisiejszego ślad po nim zaginął.

W Miednikach utworzono obóz dla naszych rozbrojonych żołnierzy, z Miednik dochodziły niepokojące wiadomości, że Pułkament - oficer polityczny z armii Berlinga - usiłował nakłaniać naszych żołnierzy, aby zgłaszali się dobrowolnie do armii Berlinga, ale nasi chłopcy nie wyrazili zgody i w związku z tym wszyscy partyzanci zostali wywiezieni do obozu w Kałudze, w obozie tym próbowano ich na siłę wcielić do armii sowieckiej, ale to się im nie udało. Żołnierze nasi nie złożyli przysięgi, do której ich zmuszano, twierdząc że już raz składali przysięgę, gdyż są żołnierzami Armii Krajowej Rzeczypospolitej Polskiej i żadnej innej przysięgi nie będą składać. Wobec tego obóz w Kałudze rozwiązano, a żołnierzy Armii Krajowej potraktowano jak więźniów i wysłano do obozu pracy w głębi Rosji do wyrębu lasu. Nasza praca konspiracyjna trwała nadal, bez przerwy utrzymywaliśmy kontakt z naszymi żołnierzami, których część jeszcze ukrywała się w terenie. Ja otrzymałam polecenie nawiązania łączności z plutonowym "Bajką", który ukrywał się w Kamiennym Łochu leżącym w połowie drogi między Wilnem a Oszmianą. Odnalazłam go bez żadnych trudności i przekazałam mu polecenie Komendanta, aby zbierał rozproszonych żołnierzy, melinował broń i czekał na wiadomość o dołączeniu do por. "Jura", natomiast łączność z "Bajką" dotarła za późno. Jeden z żołnierzy, który kontaktował się z "Bajką" został złapany przez "istriebieli" i podczas tortur wydał jego miejsce pobytu. "Bajka" otoczony przez "istriebieli" został bestialsko zamordowany. Jesienią 1944 roku zostałam wysłana do oddziału por. "Jura" do Puszczy Nałibockiej oddalonej od Wilna o 100 km. Zawsze idąc w teren z meldunkiem brałam torbę, a w niej nici, farba, sacharyna na sprzedaż, żeby stworzyć pozory handlu, dla zamaskowania właściwego celu, poza tym wstępując do gospodarstw pod pretekstem handlu, dowadywałam się co słychać w terenie, jakie są nastroje, gdzie były łapanki itp. Po drodze miałam wytyczone miejsca kontaktowe gdzie mogłam przenocować. Jednym

1/34

z takich miejsc był dom w Holszanach, u państwa doktorstwa Maciusowicz, tam się zatrzymałam na noc. Doktor Maciusowicz dowiedziała się, że samochód z sielsowietu jedzie do Bohdanowa, poprosiła, żeby mnie zabrali i tak udało się dojechać do Bohdanowa, a stamtąd przez Małą Puszcę idąc do gospodarstwa dowiedziałam się, że jakiś polski oddział został rozbity przez "istriebieli".

Gdy dotarłam na skraj puszczy do "Rozalki", był to nasz dom kontaktowy, gdzie miałam się spotkać z por. "Jurem", okazało się że rzeczywiście mieli styczność z "istriebielami", ale por. "Jurowi" udało się z oddziałem wywinąć z okrążenia i prawdopodobnie jeszcze dzisiaj będzie u "Rozalki". W nocy zjawił się "Jur" i okazało się, że jego oddział wyszedł bez strat w ludziach, ale będzie musiał zmienić miejsce postoju, bo na tym terenie są częste obławy i nie chce narażać miejscowej ludności, która sprzyja polskim partyzantom. W oddziale zostawiłam pieniądze, mapy i kompas, a "Jur" miał udać się z oddziałem w głąb Puszczy Nałibockiej, następne kontakty miały być utrzymywane nadal przez "Rozalkę", której brat był w oddziale u "Jura". Gdy wróciłam do domu okazało się, że rodzice moi zostali wysiedleni przez Ruskich na Dolną Kolonię przy ul. Dolnej do państwa Jakowlewów, poszłam więc pod wskazany adres, zastałam całą rodzinę w komplecie łącznie z "Burzą" partyzantem z 8-ej Brygady, który mieszkał u nas po likwidacji szpitalika. Ja po odpoczynku i zjedzeniu smacznego obiadu u Mamy, musiałam udać się do Wilna, aby zdać relację z podróży. Moja przelozona "Margaryta" mieszkała już w Wilnie przy ul. Sosnowej i poradziła mi, żeby się sprowadzić do niej i razem zamieszkać, tak będzie bezpieczniej, bo w Kolonii jestem spalona i mogą mnie zaaresztować. Pojechałam więc do domu, przedstawiłam rodzicom tę propozycję, rodzice wyrazili zgodę, zabrałam więc swoje rzeczy i zamieszkałam u "Margaryty". Tam nas nie znano i byliśmy całkiem bezpieczni. Od czasu do czasu wpadałam do Kolonii, aby się skontaktować ze Staszkiem Wejsem ps. "Pius", który ukrywał się na Dolnej Kolonii w domu u cioci Tadeusza Konwickiego. "Grom" zmienił pseudonim na "Orlicz" i szykował się do wyjścia w teren, aby się połączyć z oddziałem por. "Jura". W związku z powyższym musiałam przygotować lokum na spotkanie grupy partyzantów, którzy razem z "Orliczem" mieli wyruszyć w teren. Ugodniłymi z "Piušem", że najbardziej bezpiecznym miejscem będzie mieszkanie "Piusa", gdyż jest połączone z zakonspirowanym przejściem do mieszkania jego teściów, którzy mieszkali na piętrze. Musieliśmy także powyciągać i przygotować dla nich broń i amunicję.

W pierwszych dniach listopada 1944 roku (dokładnej daty już nie pamiętam) wyruszyliśmy małymi grupkami z Wilna do Kolonii Wileńskiej, ja z "Grubym" szłam pierwsza, w pewnej odległości "Czarny" z "Hanką" i na końcu "Orlicz" z "Margarytą". Gdy doszliśmy do Kolonii Wileńskiej było już

II/35

ciemno, sprawdziłam czy w domu u "Piusa" wszystko w porządku. Po sprawdzeniu datam znać pozostałam, że droga jest wolna.

Po pargodziennym odpoczynku i naradzie doprowadziłam ich znanymi mi ścieżkami do Rejkanciszek do domu państwa Polników, gdzie mieszkały moje koleżanki łączniczki - Hanka Polnik i Janka Macioszek. Nie pamiętam już, kto tę grupę poprowadził dalej, ja z "Margarytą" wróciłam do Kolonii, przenocowaliśmy u moich rodziców i następnego dnia ruszyliśmy do Wilna. Ile dni minęło od wyjścia "Orlicza" w teren nie pamiętam, tydzień a może i więcej, jak otrzymałam od "Margaryty" polecenie udania się z mediantkiem do oddziału "Orlicza", pamiętam że był to folwark w okolicy Szumska. Gdy przybyłam na umówione miejsce "Orlicza" z oddziałem jeszcze nie było. Około północy zjawił się "Orlicz" z nieduzym oddziałem. Po przekazaniu wiadomości z Wilna, otrzymałam polecenie udania się rano do apteki w Szumsku i zabrania leków i środków opatrunkowych. Po powrocie z Szumska udałam się w powrotną drogę do Wilna, a "Orlicz" z oddziałem miał ruszyć wieczorem w rejon Stefaniszek. Następnym kontaktem "Orlicz" wyznaczył w Stefaniszkach. Folwark Stefaniszki był własnością państwa Dumnickich, bywałam tam częstym gościem, córka państwa Dumnickich ps. "Baśka" była łączniczką naszego oddziału i jednocześnie najlepszą moją przyjacielką. Mama "Baśki" pani Eugenia była wspaniałą postacią, w okresie okupacji niemieckiej przechowywała rannych akowców, udzielała rady i pomocy okolicznym chłopom, którzy ją szanowali i zawsze ostrzegali przed obławami "Istrebiel". Pomimo tego w m-cu lutym 1945 roku pani Eugenia z córką "Bašką" zostały aresztowane i wywiezione w głąb Rosji do obozu pracy jako wrogowie Związku Radzieckiego. Wróciły z zesłania dopiero po jedenastu latach w roku 1956 - "Baśka" z gruźlicą płuc. Po powrocie do Ojczyzny, pomimo opieki lekarskiej jaką ją otaczano, zmarła po dwóch latach w 1958 roku. Pochowana została na cmentarzu w Łublinie, gdzie mieszkała jej mama pani Eugenia po powrocie do kraju, ale pisząc o rodzinie państwa Dumnickich odbiegłam od tematu.

Po powrocie do Wilna zastałam "Margarytę" przy robieniu małych choineczek na sprzedaż, musiała przecieć z czegoś żyć, poborów nikt nie płacił, a zbliżające się święta Bożego Narodzenia dawały ku temu szczególną okazję. Ze sprzedają nie było problemu, każdy kupował chętnie małą choineczkę na stół. Następną moją łączniczką, jak już przedtem wspominałam, była w Stefaniszkach, gdy dotarłam tam byłam zaskoczona obecnością pani Hanki (sympatia "Czarnego"). Na pytanie skierowane do "Baśki" co tu robi Hanka, "Baśka" oznajmiła mi, że przywozila tu panią Hankę na zyczenie por. "Czarnego", który prosił ją, aby jadąc do Wilna przywieźć panią Hankę. Okazało się, że "Czarny" wykorzystał nieobecność Komendanta "Orlicza", który udał się na spotkanie z "Jurem". Kiedy Komendant wrócił do oddziału był bardzo niezadowolony z obecności pani Hanki, święta Bożego Narodzenia,

II/36

a raczej Wigilię oddział planował spędzić w Stefaniszkach, mieliśmy polecenie przywieźć księżda z Wilna. Okoliczne wsie i folwarki sprzyjały naszemu oddziałowi i donosiły o pojawiających się oddziałach ruskich. Zadaniem naszych oddziałów było przetrwanie, a nie zbrojna walka. W dniu wigilijnym zorganizowałam małe wygodne saneczki, rączego konika i pojechałam z "Margarytą" po umówionego wcześniej księdza kapelana z klasztoru sióstr Benedyktynek w Wilnie przy ul. Wileńskiej. Ksiądz kapelan miał odprawić Pasterkę i uczestniczyć w wieczery naszego oddziału. Odwiozłam księżda i "Margarytę" do Rejkanciszek, sama natomiast musiałam wracać na Wigilię do domu rodziców. Bardzo chciałam spędzić Wigilię z "Margarytą" w oddziale, ale musiałam zadośćuczynić prośbie rodziców i spędzić święta w gronie najbliższych.

Po świętach Bożego Narodzenia Oddział wyruszył w kierunku Puszczy Nalibockiej, aby połączyć się z oddziałem por. "Jura". W połowie stycznia 1945 roku otrzymałam polecenie zabrania z Kolonii Wileńskiej siostry "Antoniny" i dwóch chłopców partyzantów "Waldka" i "Urkę", których miałam doprowadzić do Oddziału. Udałam się z Wilna do Kolonii Wileńskiej, po drodze wstąpiłam do koleżanki inki Rakowskiej i tam dowiedziałam się, że jestem już poszukiwana przez NKWD - ostrzeżono mnie, żebym broń Boże nie szła do domu rodziców, bo prawdopodobnie jest tam "kocioł". Dla młodego pokolenia muszę wyjaśnić co to jest "kocioł": otóż kiedy w domu była dokonywana rewizja przez NKWD, żołnierze ci siedzieli nieraz w tym domu przez dwa a nawet i więcej tygodni i kto przypadkowo w tym czasie odwiedził to mieszkanie był zatrzymany i aresztowany razem z właścicielami tego domu. Wobec takiego ostrzeżenia poszłam na zwłady, torbę którą miałam ze sobą zostawiłam w sklepie u Hanki Halmutówny, którą tam pracowała, a sama udałam się na ulicę Dolną gdzie mieszkali moi rodzice. Naprzecwko naszego domu mieszkała pani Helena Bułkiewicz, którą znałam i miałam do niej pełne zaufanie. Wstąpiłam do niej, aby dowiedzieć się, czy nie zauważyła czegoś podejrzanego w naszym domu. Niestety odpowiedziała, że nic nie zauważyła, natomiast bardzo chętnie ofiarowała się pójść i sprawdzić, ja natomiast miałam poczekać na jej powrót w jej mieszkaniu. Czas mijal, a pani Helena nie wracała, zaniepokojona wyszłam na ulicę, a tu widzę nadjeżdżające sanie, a w nich w białym kożuch siedzi enkawudzista - zatrzymuje mnie skłócając konia w nasze podwórko i mówi: "Chadzi, chadzi popilnuj taszadzij" (Chodź, chodź popilnujesz koni), a ja mu na to: "Charaszo, a patom pakatajiesz mienia" (Dobrze, a potem mnie przewieziesz), a on na to: "Da, da" (Tak, tak). Przywiązał konia do słupka i szybkim krokiem skierował się do naszego domu. Gdy zniknął za rogami domu - ja w nogi, jak przeskoczyłam płot u państwa Michniewiczów, nie wiem i wpadłam jak bomba do mieszkania Halinki Michniewicz. Halinki w domu nie było, była tylko jej mama, która wdząc moje zdenerwowanie domyśliła się zagrożenia jakie

II/37

mnie czeka, wiedziała już o tym, że w naszym domu jest kociol. Poradziła mi, żebym uklękała i razem z nią odmówiła "Pod Twoją obronę" i poleciła się opiece naszej Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Po modlitwie wstałam spokojniejsza i opowiedziałam pani Michniewiczowej co się stało. Na domiar złego za mną do mieszkania pani Michniewiczowej wpadł nasz pies Brytan, który zobaczył mnie uciekającą, wierny mój przyjaciel wyczuł zagrożenie i łasił się do mnie, ledwo udało mi się go uspokoić. Poprosiłam panią Michniewiczową, żeby zatrzymała Brytana, bo ja muszę iść na Górą Kolonię. Pan Michniewicz pokazał mi dziurę w płocie za składzikiem i tak po pas brnąc w śniegu dotarłam do domu pani Krywko, gdzie miała czekać "Antonina" z "Waldkiem" i "Urką". Pani Krywko zaprowadziła mnie do zakonspirowanej ziemianki w ogrodzie, a "Antonina" i chłopcy na mój widok ucieszyli się bardzo, kiedy opowiedziałam im o mojej przygodzie. Pozostał jeszcze jeden problem, musiałam pójść na Dolną Kolonię po moją torbę zostawioną w sklepie u Hanki Halmutówny, ustaliliśmy ze pójdzie ze mną "Waidek", ale jak nastąpi szarówka, w między czasie przyszyła pani Krywko i poprosiła nas na obiady.

Torbę zabraliśmy bez problemu, od Hanki dowiedzieliśmy się, że u nas nadal jest kociol. Wieczorem ruszyliśmy do Rejkanciszek, przenocowaliśmy u pani Kozioł-Poklewskiej i o świcie ruszyliśmy w kierunku Czarnego Traktu. W jednym z folwarków gdzie była nasza siatka konspiracyjna dostaliśmy konia z sankami i tak dotarliśmy do wyznaczonego miejsca. Był to folwark Rakańce, nie pamiętam już nazwiska właściciela, bodajże państwo Sosnowscy. Tam mieliśmy czekać na patrol, który miał nas podebrać i doprowadzić do Oddziału. W nocy zjawił się patrol, przeczekaliśmy w Rakańcach cały dzień i wieczorem ruszyliśmy w kierunku puszczy Nalibockiej. Mogliśmy ponuszać się tylko nocą, na dzieńne postoje i odpoczynek zatrzymywaliśmy się u gospodarzy, którzy należeli do naszej siatki konspiracyjnej i doskonale orientowali się, gdzie są oblawy "istrebicielei". Po dotarciu do oddziału w Puszczy Nalibockiej i przekazaniu meldunku, z którego wynikało, że "Orlicz" ma sam podjąć decyzję, czy pozostać na terenie wileńskim, czy zdecydować się na przejście granicy na tereny białostockie. W puszczy znajdował się jeszcze jeden oddział Samoobrony Ziemi Wileńskiej. Oddział 8-jej Brygady "Tumrego". "Orlicz" postanowił spotkać się z "Tumrym" i wspólnie podjąć decyzję. Po kilku dniach doszło do spotkania, a wynikiem tego spotkania był ustalony marsz na zachód na tereny białostockie. Ja miałam wrócić do Wilna, z meldunkiem o podjętej decyzji obu oddziałów, dopiero z następnego postoju. Połączone dwa oddziały - w sumie ponad 150-ciu partyzantów ruszyło na zachód. Poruszaliśmy się z wielką ostrożnością, gdyż wiedzieliśmy o grasujących dużych oddziałach sowieckich "istrebicielei" na terenie Puszczy Nalibockiej, których zadaniem było tropienie polskich

II/38

oddziałów Samoobrony Ziemi Wileńskiej. Zatrzymaliśmy się we wsi Rawiny koło Karolicz, wieś była położona w wąwozie, dowódcy nasi rozstawili warty i wydawało się wszystkim, że możemy spokojnie odpoczywać. Ja następnego dnia miałam udać się do Wilna, a oddział miał ruszyć w dalszą drogę.

Tymczasem we wsi zatrzymano parę osób, które przyszły do wsi w jakichś tam sprawach. To już Komendantowi się nie podobato, wezwał więc "Grubego" i polecił mu zrobić rozpoznanie ewentualnego wycofania się ze wsi. "Gruby" zrobił rozpoznanie i przedstawił Komendantowi plan ewentualnego wycofania się ze wsi przez zamazniętą rzeczkę, która przepływała przez wieś i była osłonięta drzewami. "Gruby" jednak nie przewidział, że rzeczka była kręta i wycofujące oddziały mogły zaklinować się, jak się potem okazało. W południe rozległy się pierwsze strzały, Komendant zarządził alarm, wybiegłam z chaty z "Antoniną" i "Luizą", strzelanina rozgorzała na dobre, poszliśmy drogą w górę, gdzie były stanowiska naszych chłopców. Chłopaki leżąc w śniegu ostrzelali przeciwnie wzgórze, byli już zabici i ranni, "Antonina" i "Luiza" robiły już opałunki. Ja natomiast zobaczyłam laborowe sanie, które bez furmana parły na polanę. Ponieważ polana była pod obsrzątem, chciałam je zatrzymać, wskoczyłam na sanie, ale lejece zwisały między saniami a koniem, chciałam złapać lejece, niestety nie udało się, sanie były za wysokie, a moje ręce za krótkie i tak leżąc na brzuchu wjechałam na polanę. Wdźkę jak kule syją w śnieg, wdźkę jak kula przeszywa brzuch konia, a na białym śniegu pozostają czerwone plamy krwi, a koń galopem prze do przodu, polana była niewielka, a potem lasek sosnowy i niżej dolina. Wdźkę "Grubego" i podchorążego "Cezara", którzy kierują wycofaniem naszego oddziału, stało już tam kilka par sań i o dziwo na jednych saniach widzę mój chlebak, który jak mi się wydawało zostawiłam w chacie u gospodarza, u którego mieliśmy kwatery. Ucieszyłam się bardzo, że ocalał, bo w chlebaku tym był obrazek Opaltrznosci, który przed akcją "Ostra Brama" otrzymyłam od księdza Soltana, nosiłam go zawsze przy sobie i wierzyłam, że Opaltrznosc czuwa nade mną. Natychmiast po sformowaniu pierwszej grupy ruszyliśmy w kierunku na zachód, nie pamiętam już miejscowości, w której zatrzymaliśmy się, była już szarówka, był już tam Komendant i kilku rannych żołnierzy, którym udało się wycofać. Robiłam opałunki, bo "Antonini" i "Luizi" w naszej grupie nie było, Komendant był bardzo zdenerwowany, poza tym był lekko ranny, nie miał wiadomości o stratach jakie poniosły oba oddziały. Zaproponowałam Komendantowi, że udam się do sąsiedniej wsi i zasięgnę języka, ale Komendant kategorycznie zabronił. Podzielił nas na trzy grupy i każda z naszych grup miała indywidualnie przedzierać się do Stefaniszek, gdzie mieliśmy się wszyscy spotkać. Ruszyliśmy w drogę, w mojej grupie byli "Gruby", "Grzybek", Jastrząb" i jeszcze kilku partyzantów, których

4/39

pseudonimów nie pamiętam. Pierwszy nasz postój był w lesie, gdy zaczęłam zmieniać skarpety siwierzdziałam, że mam odmrożone palce u obu nóg. Koleśdy poradził mi zdjąć buty i zaczęli rozcierać palce śniegiem, palce były białe jak u truposza. Ponieważ nacieranie śniegiem nic nie pomogło, a palce moje nadal były białe jak kość sioniowa, postanowiłam zmienić buty i skarpety, które miałam w plecaku, a buty które miałam na nogach wrzuciłam do sań, gdyż były zmarznięte na kość. Ze względu na bezpieczeństwo, aby nie zdradzić miejsca postoju przed nieprzyjacielem, nie wolno było rozpałać ogniska. Pożywieniem naszym był zmarznięty chleb i zmarznięta szynka solona, która znajdowała się w naszych zapasach. Szarówką wyruszyliśmy w dalszą drogę. Następny nasz postój to była kolonia na uboczu drogi, przyjęło nas tam bardzo gościnnie - wszyscy byli bardzo zmęczeni i zniebnięci całonocną jazdą. Mnie natomiast nurtowały moje odmrożone palce, po zdjęciu butów próbowałam je rozcierać, ale to nic nie pomogło. Przypominałam sobie, jak będąc dzieckiem odmroziłam sobie nogi wlewając ślizgawkę w czasie ferii świątecznych, wtedy nasza gosposia kazała mi moczyc nogi w zimnej wodzie, a potem smarowała naftą i kazała je trzymać przed rozpalonym piecem. Pamiętam, że po tych zabiegach noc była niezbyt przyjemna, ale na drugi dzień czułam się dobrze i poszłam na łyżwy. Mając na myśli ten sposób leczenia, poprosiłam tutaj też gosposię, u której kwaterowaliśmy o trochę nafty, posmarowałam palce i trzymałam przed rozpalonym piecem, po półgodzinnej kuracji owinęłam palce bandażem i poszłam spać. Obudziłam się, kiedy poczułam przykry ból, odwinęłam bandaż i zobaczyłam na nogach ogromne bąble. Zorientowałam się że popełniłam błąd, grzejąc nogi przed piecem po prostu je poparzyłam, nie mówiąc nic nikomu owinęłam je czystym bandażem, ale zaistniał nowy problem, nie mogłam wpakować nóg do butów. Kiedy powiedziałam o tym "Grubemu", ten nie wiem skąd, ale po chwili przyniósł mi męskie duże kamazse (nawet nowe), w które mogłam schować obolałe nogi. O zmroku ruszyliśmy w dalszą drogę, odległość dzieląca nas od Stefaniszek na obecne czasy wydaje się śmieszna, ale myśmy pokonywali ją w ciężkich warunkach, mogliśmy poruszać się tylko nocą omijając większe wsie, aby uniknąć spotkania z sowiickimi "istrebicielami", którzy nas tropili. Trzeciego dnia dotarliśmy do Kłewickich Lasów i tu nasza szpica natknęła się na "istrebiceli", natychmiast skierowaliśmy nasze sanie w las, ja uzgodniłam z "Grubym", że będę się starała dotrzeć do Stefaniszek sama, gdyż z odmrozonymi nogami będę dla nich tylko przeszkodą. Przeczekałam jakiś czas w lesie, gdy strzały ucichły, skierowałam konia w stronę gajówki, gdy tam dotarłam zobaczyłam wystraszone kobiety i dzieci. Początkowo odnosiły się do mnie bardzo nieufnie, ale kiedy przyniosłam z sań nasze zapasy - miód i sionię, to dzieciaki skwapliwie rzuciły się na robione przeze mnie kanapki obficie smarowane miodem i wtedy dopiero kobiety powiedziały mi, że w obozrze jest ranny partyzant

4/40

i one boją się, żeby "istrebiciele" nie wróciły, bo rano zabrali konia i sanie. Chciałam natychmiast udać się do obory zobaczyć rannego, w jakim stanie się znajduje, ale kobieta zaczęła mnie bardzo prosić, żebym nie szła, bo może ktoś obserwować z lasu. Powiedziała, że lepiej będzie jak ona pójdzie sama, napisałam kartkę, krótko przedstawiłam sytuację w jakiej się znajdujemy, zrobiłam parę kanapek i kobieta poszła z wiadrem do obory. Kiedy wróciła, okazało się, że rannym jest nasz "Urka", którego ostatnio doprowadziłam do oddziału... Został ranny pod Rawinami i był w grupie "Czarnego". Grupa "Czarnego" przejeżdżała przed nami przez teren Lasów Kłewickich i też natknęła się na "istrebicieli". "Czarny" zostawił rannego "Urkę", zabrał mu konia, żeby szybciej poruszać się w terenie, a rannego zostawił na pastwę losu. Byłam oburzona na "Czarnego", nigdy nie miałam dobrego mniemania o nim, ale tym razem przebrał miarkę. Po kilku godzinach odpoczynku i nakarmieniu konia, szarówką z gospodynią zapakowałyśmy rannego "Urkę" na sanie i ruszyłam z nim w kierunku Turgiel. "Urce" zawiązałam chustkę na głowę, żeby pozorować że wiozę chorą siostrę do lekarza, bo jego blond kędzierzawe włosy lepiej pasowały na dziewczynkę. Tak dojechalśmy bez przeszkód do Turgiel, gdzie zatrzymaliśmy się na odpoczynek u miejscowego nauczyciela (był on w naszej siatce konspiracyjnej). Następnego dnia dotarliśmy do Stefaniszek. Był tam już "Grom", "Gruby" i "Czarny", wszyscy się ucieszyli na mój widok, tylko "Czarny" gdy dowiedział się, że zabrałam rannego "Urkę" z gajówki w Kłewickich Lasach był wściekły i usiłował udowodnić Komendantowi, że niepotrzebnie zabrałam "Urkę". Między innymi powiedział w ten sposób: że najgorzej jak baby się wtrącają w nie swoje sprawy. Nigdy nie byłam niegrzeczną, ale tym razem nie wytrzymałam, nauragałam "Czarnemu" wobec wszystkich obecnych i poszłam do pokoju Baśki Dumnickiej wylać swoje zale, Baśka i wszyscy obecni przyznali mi rację, że zabrałam "Urkę". Baśka zajęła się rannym, odwoziła go na melinę, bo w Stefaniszkach było już dość sporo osób, poza tym po obejrzeniu rany orzekła, że "Urkę" trzeba odwieźć do Włina pod opiekę lekarską, gdyż rana nie wyglądała najlepiej. Komendant wysłał Baśkę do Włina z meldunkiem o naszej obecnej sytuacji. Następnego dnia zjawila się "Margaryta", zabrała mnie i Komendant'a "Orlicza" do Włina i ulokowała mnie na ul. Wielkiej, nazwiska tych państwa nie pamiętam i sprowadziła doktora Jana Żemojtele (nasz lekarz konspiracyjny). Doktor "Jan" orzekł, że moje palce kwalifikują się do amputacji i natychmiast skierował mnie do szpitala Czerwonego Krzyża przy ul. Zygmuntońskiej pod opiekę prof. doktora Michejdy. W między czasie poprosiłam "Margarytę" o skontaktowanie się z moją rodziną, bo od wyjazdu z meldunkiem do oddziału, nie miałam żadnej wiadomości. Okazało się, że moja Mama i moja siostra Lucyna po wyjściu z więzienia w Nowowilejce, pierwszym transportem w końcu stycznia 1945r, wyjechały do Białegostoku. W Wlinie pozostał tylko mój Ojciec, który czekał na mój

11/42

szpitala po swoje rękawice. Na mojej sali została jeszcze jedna pacjentka - pani Sziagirmilch z Ponar, po którą jej mąż kazał przysłać samochód (miał jej pracować w Dyrekcji Kolejowej). W momencie kiedy Ojciec mój wszedł na salę i powiedział pani Sziagirmilch o rękawicach, wpada na salę mężczyzna w skórzanym płaszczu i pyta po rosyjsku: "Kto gdzie wypisany?". Pani Sziagirmilch myślała, że to szofer przysłany po nią i mówi, że ona jest wypisana i pyta go, czy to on "sofer z żelaznej dorogi", a on na to: "Da, ja szofer, ale nie z żelaznej dorogi" i gromkim głosem: "A gdzie jeszcze adna maładaja?", a mój Ojciec stoi schowany za drzwiami i widać jak pani Sziagirmilch robi się czerwoną na twarzy i mówi odważnie po rosyjsku, że maładaja już opuściła szpital. Enkawadziasta krzyknął tylko: "Kak to mozet być!" i wybiegł z sali szukać siostry oddziałowej, a Ojciec szybko zabierając swoje rękawice wymknął się z sali. Gdy wrócił na Dominikańską był bardzo zdenerwowany, opowiedział mi całe zajście - miałam szczęście, a zawdzięczam to tylko uporowi Ojca.

Teraz powstał drugi problem: mieliśmy wyrobione karty repatriacyjne na 13-ty transport, który miał odchodzić z Wilna za parę dni, a wiedziałam o tym siostra oddziałowa, jeżeli chcieli mnie aresztować w szpitalu, na pewno będą się starali chwycić mnie w transporcie. Musiałam natychmiast skontaktować Ojca z "Wanda" i "Bronką", które uznały, że w żadnym wypadku nie możemy jechać 13-ym transportem i czekać, aż wyrobą nam nowe dokumenty i pojedziemy następnym transportem w kwietniu. Po kilku dniach otrzymałam dokument na nazwisko Mieczysława Grajewska i karty repatriacyjne na 14-ty transport, który miał odjechać z Wilna 17 kwietnia 1945 roku. W między czasie Ojciec usiłował się zakradać do naszego mieszkania w Kolonii Wileńskiej i wykradać nasze własne rzeczy, aby je potem sprzedać na rynku, nie mogliśmy być ciężarem dla jego przyjaciela. Meble w owym czasie nie miały żadnej wartości, wszyscy repatrianci przed wyjazdem chcieli pozbyć się ich za byle jaką cenę. Pamiętam, że Tata sprzedawał trzydziściu szafę z lustrem za dwa litry bimbru, bimber sprzedał i kupił szynkę, bo zbliżały się święta Wielkanocne. Ja byłam jeszcze niesprawna, rany po amputacji palców nie były jeszcze wygojone, musiałam robić kąpiele nóg w roztworze cali, łapisować dzikie mięso i robić opatrunki. Co parę dni wpadała do mnie "Bronka", albo "Wanda", które dostarczały mi materiał sterylny do opatrunków. Pamiętam miłą niespodziankę sprawili mi "Milimetr" i "Swing" - koledzy z 3-ej Brygady "Szczerbca", odwiedzając mnie w tym zacisznym schronisku, przekazali mi najnowsze wiadomości z terenu. Dowiedziałam się wtedy, że wszystkich naszych kolegów z AK, którzy przebywali w więzieniu na Łukiszkach wygnano na dworzec kolejowy i tam na łopniącym śniegu trzymano ich na kolanach zanim podstawiono i otworzono wagony. Dopiero w Polsce dowiedziałam się, że mój maizonek też wtedy kłęczał przed dworcem

11/44

powrócił u swego przyjaciela, bo nasze mieszkanie było dalej pod obserwacją NKWD. Ojciec ucieszył się bardzo na mój widok i przychodził codziennie do szpitala, gotował nam obiady, palił w piecyku żelaznym, który był zainstalowany w naszej sali. Pamiętam kłobegoś dnia kupił na rynku kurę i oznajmił nam, że ugotuje rosół, tylko nie z makaronem a z kaszą, bo makaronu nie było. Słabym był kucharzem, bo zamiast rosolu z kaszą wyszła kasza na gęsto, którą też zjedliśmy z apetytem. Przypomniał mi się taki incydent - przed operacją do sali, w której leżałam wchodzi dwóch chłopców i niosą trzeciego na fotelu, stawiają przy moim łóżku i przedstawiają się jako koledzy z sąsiedniej sali, przyszli mnie odwiedzić i pocieszyć przed operacją jaka mnie czeka, natomiast na fotelu siedzący chłopak miał odmrożone obie stopy, uciekając z Kalugi dotarł do Wilna kosztem amputacji obu stóp i on mnie przyszedł pocieszać. Zrobiło mi się gorąco, chociaż w naszej sali ogrzewanej małym żelaznym piecykiem temperatura była dość niska - kto tu miał kogo pocieszać. Okazało się, że chłopak był pełen optymizmu, żartował, śmiał się i wierzył, że będzie jeszcze tańczył. Byłam dumna z jego postawy, pomimo że pierwszy raz go widziałam, nazywał się Piotrowski i stał mi się bliski jak brat. W tamtym czasie leżało na chirurgii dużo chłopców z Armii Krajowej, których przygarnął na swój oddział prof. Michejdo. W czasie mojego pobytu w szpitalu odwiedzała mnie "Margaryta", a po jej wyjeździe do Polski, odwiedzały mnie "Wanda" i "Bronka", siostry z czołówki trzeciej Brygady "Szczerbca", które znalazłam jeszcze z konspiracji. Pewnego dnia przyszedł na obchód profesor Michejdo i powiedział nam, że przekazuje oddział chirurgiczny lekarzom litewskim, a nam radził opuszczać szpital, powiedział również, że moje nogi już nie wymagają opieki lekarskiej, a opatrunki potrafię robić sama. Ja i Ojciec mój mieliśmy załatwione karty repatriacyjne przez siatkę konspiracyjną na 13-ty transport, który miał wyjechać z Wilna w marcu 1945 roku. Ponieważ nasze mieszkanie w Kolonii Wileńskiej było po rewizji "spalone", a Ojciec mieszkał w Wilnie u swojego przyjaciela pana Paszkiewiczza, dlatego zabrał mnie ze szpitala do państwa Paszkiewiczów. W dniu, w którym Ojciec przyjechał po mnie do szpitala i poszedł do kancelarii załatwić wypis, przyszła na naszą salę siostra Litwinka i powiedziała, że wszyscy wypisani ze szpitala są chwilowo zatrzymani, rzekomo pod pretekstem sprawdzenia pościeli. Wydało się nam to podejrzane, bo właściwie szpital nie posiadał i nie dawał nikomu własnej pościeli, wszyscy chorzy mieli własną pościel, przynajmniej na naszej sali. Zanim Ojciec wrócił z kancelarii zjawiała się na naszej sali młoda siostra, poprosiłam ją, żeby sprawdziła moją pościel, czy nie ma na niej szpitalnych pieczętek. W tym czasie wrócił Ojciec i kazał mi się szybko ubierać, bo dorozka czeka już na dole. Wyszliśmy z Ojcem bez przeszkód, gdy byliśmy już u państwa Paszkiewiczów Ojciec odetchnął, ale zorientował się, że zostawił swoje rękawice na łóżku w szpitalu. Postanowił więc wrócić do

11/43

kolejowym w Wilnie i został wywieziony do kopalni węgla w ZSRR. Święta Wielkanocne były bardzo smutne, po raz pierwszy obchodziliśmy je nie w gronie rodziny, niemniej państwo Paszkiewiczowie starali się je nam umilić.

Nadszedł dzień 17 kwietnia 1945 roku, mieliśmy problem z naszym psem, którego Ojciec zabrał z Kolonii, a który był bardzo przywiązany do mnie i już na dzień przed naszym wyjazdem był bardzo niespokojny, przeczuwał że będziemy musieli się rozstać. W dniu naszego wyjazdu pani Paszkiewicz zamknęła naszego Brytana w składziku, serce mi się krajało, zabrać go nie mogliśmy, bo nie wolno było zabierać zwierząt domowych. Ze względu na bezpieczeństwo ja jechałam w innym wagonie, nie razem z Ojcem, w pewnym momencie widzę biegnącego od wagonu do wagonu naszego Brytana. Zobaczył go Tata, złapał dorożkę, która przywozi kogoś do transportu i odwiózł do państwa Paszkiewiczów. Nie pamiętam już dokładnie, ale wydaje mi się, że transport nasz wyruszył z Wilna wieczorem, a następnego dnia byliśmy już w Białymstoku. Mama i moja siostra Lucyna wiedziały z naszych listów, że przyjeżdżamy 14-ym transportem, ale nikt nie informował o której godzinie, było to sowiecka tajemnica. Radość była ogromna z naszego spotkania. Transport nasz, którym przyjechalśmy pojechał do Łodzi. Rodzice moi również pojechali do Łodzi z myślą ułożenia dalszego życia, a ja z siostrą zostaliśmy w Białymstoku i miałymy czekać aż rodzice się urządzią i nas zabrają. W Białymstoku zatrzymało się mnóstwo naszych kolegów partyzantów, zjawili się też pewnego dnia "Wałek", który był w naszym Oddziale Samoobrony i brał udział w bitwie pod Rawinami, udało mu się wyjść z okrążenia i szczęśliwie dotarł do Wilna. Był tu również w Białymstoku jego szef z Kedywu Wileńskiego - Władysław Subortowicz i Jerzy Łoziński, których znałam dobrze i po przyjeździe do Białegostoku nawiązałam z nimi kontakt. Nasz wywiad AK nadal działał i za wszelką cenę chcieliśmy udowodnić komunistom, że nasza konspiracja istnieje i nie podda się tak łatwo. Były wydawane wyroki na tych, którzy katowali naszych akowców w więzieniu białostockim, wyrok również został wydany na szefa Urzędu Bezpieczeństwa, okrutnego kata białostockiego, przy wykonaniu na nim wyroku ginął "Wałek", nie zdążył przeskoczyć płotu i tam dosięgła go kula ubowca.

W maju otrzymaliśmy list od Rodziców, że mamy przyjechać do Bytomia. Śląsk zdecydowanie nie przypadł nam do gustu, postanowiliśmy z siostrą pojechać na ziemię odzyskane na Mazury, gdzie już osiedlili się nasi koledzy z wileńskiej konspiracji i nasi akowcy. W Białymstoku spotkałam "Burzę", który odnalazł swoją rodzinę i osiedlił się w Rastemborku (obecny Kętrzyn). Kiedy dowiedziałam się, że w kętrzyńskim osiedliło się dużo naszych kolegów z AK, wybrałyśmy się

11/44

z Lusią do Kętrzyna i tam dowiedziałam się, że w majątku Grzybowo administratorem jest Adam Asziomowicz ps "Bohdan" z 13-ej Brygady "Nietoperza". On to właśnie namówił mnie, zebym sięgnęła mojego Ojca do Grzybowa, bo on zostaje przeniesiony do majątku Głębowo na administratora, a chciałby Grzybowo oddać w dobre ręce.

Po głębszym zastanowieniu się napisałam list do Ojca przedstawiając sprawę posady, którą proponował miemu ojcu "Bohdan". Ojciec po otrzymaniu mojego listu natychmiast przyjechał do Grzybowa i objął stanowisko zastępcy kierownika gospodarstwa, natomiast kierownikiem został jego serdeczny przyjaciel z Wilna Antoni Borowski, który również wrócił z kopalni węgla w ZSRR, z tą różnicą, że wrócił legalnie. Ja od miesiąca kwietnia 1945 roku mieszkalam przy rodzicach w majątku Grzybowo, Pewnego dnia zjawił się w Grzybowie Jerzy Banasikowski ps. "Jeź" zastępca majora "Jaremy" 3-go zgrupowania Armii Krajowej Inspektoratu "F". Korzystając z wolnego czasu, na prośbę Banasikowskiego pojechałam z nim do Kętrzyna odwiedzić "Burzę". W powrotnie drodze czekając na pociąg, zauważyliśmy że na zapasowe tory wiozł się pociąg z repatriantami z Wilna i okolic. Błyskawicznie rozeszła się wiadomość, że na stacji stoi pociąg z Wilna, był to koniec listopada 1945 roku. Spotkałam w tym transporcie panią doktor Piaszczyńską z Wilna, nauczycielkę z Rudomina, której nazwiska już nie pamiętam. Zauważyłam, że Banasikowski też spotkał znajomego, jak się potem okazało, był to "Góra", plutonowy podchorąży z 13-ej Brygady Armii Krajowej - Teodor Straczycki obecny mój mąż, który uciekł z kopalni Zagłębia Donieckiego w ZSRR, dotarł do Wilna, w Wilnie otrzymał od istniejącej komórki konspiracyjnej dokumenty na nazwisko Kozłowski Tadeusz i z odchodzącym do Polski transportem przedostał się do Kętrzyna. "Burza", kiedy dowiedział się, że na dworcu stoi transport z Wilna, natychmiast przyjechał motorem na dworzec i zabrał "Górę" do swojego domu.

26 kwietnia 1946 roku wyszłam za mąż, ceremonii ślubnej dokonał ś.p. ksiądz Małachowski, znajomy z Nowowiejki, dlatego tylko była możliwość otrzymania dwóch metryk ślubnych. Jedną metryka na nazwisko Straczyckich, drugą zaś na nazwisko Kozłowski. Na lewych dokumentach przetrwalimy do roku 1962. Na przelomie 1962/63 roku ujawniliśmy się i powróciliśmy do swojego rodzowego nazwiska. Po otrzymaniu dokumentów na nazwisko Straczycki, mąż mój został wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa w Olsztynie, gdzie było prowadzone długie i szczegółowe śledztwo dotyczące jego powiązań z wileńską Armią Krajową, ale z braku dowodów winy śledztwo zostało umorzone.

WSPOMNIENIA

Od dawna nosiłam się z zamiarem napisania swoich wspomnień z okresu okupacji na naszych kresowych ziemiach, choć co prawda minęło już pięćdziesiąt lat od tamtych wydarzeń i nie jestem pewna, czy dam radę chronologicznie odtworzyć obraz tamtych dni. Pamiętam czerwiec 1941 roku, wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej, który uciechył całe społeczeństwo polskie, a dlaczego to postaram się w paru zdaniach naświetlić.

Od 17 września 1939 r. pod okupacją sowiecką nikt z obywateli polskich nie był pewny dnia ani godziny, ciągle aresztowania i deportacje w głąb Rosji, jak to u nas się mówiło „na białe niedźwiedzie”. Dlatego też wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej powitaliśmy z pewną ulgą.

W roku szkolnym 1941/1942 uczęszczałam na tajne komplety w Wilnie; pod koniec 1942 roku rozpoczęły się aresztowania naszych wykładowców i w paru wypadkach młodzieży.

Muszę tu jeszcze nawiązać do wychowania i postawy naszej młodzieży w okresie międzywojennym. Pokolenie nasze było wychowywane bardzo patriotycznie, mieliśmy wspaniałych pedagogów, którzy uczyli nas prawdziwej historii i potrafili nam wpoić miłość do Ojczyzny, tak że nic dziwnego, iż w okresie drugiej wojny światowej cała nasza młodzież marzyła o walce w obronie utraconej Polski. Naszą dewizą było hasło „Bóg, honor i Ojczyzna”, wszyscy garnęli się do konspiracji. Ja też marzyłam, żeby być przydatną, działać a nie siedzieć bezczynnie. Wstąpiłam do *Szarych Szeregów*; tam zorganizowano dla nas kurs przeszkolenia sanitarnego. Chodziłam na kurs chętnie, ale szczerze mówiąc nie widziałam siebie w roli sanitariuszki, byłam zbyt wrażliwa na ból ludzki, a widok krwi przyprawiał mnie o mdłości.

We wrześniu 1943 roku wychodzi w teren Gracjan Fróg, późniejszy „*Szczerbiec*” z dwudziestoma chłopakami, między innymi jest również przyjaciel mojego brata Olek Borowski „*Gruby*”. Od chwili wymarszu tej małej grupy byłam związana z nimi na co dzień. Robiliśmy dla nich ciepłe szaliki, rękawice, nauszniki, bo zbliżała się zima. „*Gru-*

by" od czasu do czasu wpadał do Wilna, wręczał mi listy do rodzin chłopaków, które musiałam doręczać pod wskazany adres. Pewnego dnia przyjechał „Gruby” z kolegą „Klonem”, który czyszcząc broń przestrelał sobie rękę. Komendant w obawie, że może dojść do zakażenia, odesłał go do Wilna; otrzymałam polecenie chodzenia z nim na opatrunki.

Porucznik Gracjan Fróg ze swoim małym oddziałem zaszył się w rejonie Ornian, Suzan i Dubinek na północ od Wilna. Kontakt z oddziałem był surowo zakazany, dlatego na razie nie miałyśmy żadnej łączności. Zajmowałyśmy się magazynowaniem leków i środków opatrunkowych, które otrzymywałyśmy ze szpitali niemieckich, gdzie pracowały nasze starsze koleżanki. W jednym z takich szpitali pracowała moja siostra Lucyna Mackiewiczówna i Halinka Kurzysówna; one to zbierały dla nas różnego rodzaju leki i środki opatrunkowe, biksy i sterylizatory.

Niemieckie władze okupacyjne masowo wywoziły młodzież na roboty do Niemiec, dlatego też każda z nas musiała gdzieś pracować, żeby być wyreklamowaną od wywózki. Ja byłam zatrudniona w biurze zawiadowcy drogowego w Nowowilejce. Pracowali tam sami Polacy; miałam dostęp do pieczętek służbowych i biletów kolejowych z nadrukiem *nur für dienstzwecke* czyli do przejazdów służbowych. Do moich obowiązków służbowych między innymi należało zbieranie *Ausweisów* robotników kolejowych i ich stemplowanie, natomiast podpisywał je pan Tomaszewicz zawiadowca drogowy, a co kwartał te *Ausweisy* stemplował okrągłą pieczętką majster – zawiadowca stacji kolejowej, Niemiec o nazwisku Nietz. Pewnego dnia przyjechał „Gruby” z „Turmontem” i przywożą mi cztery *Ausweisy*, które muszę podstemplować; są im potrzebne, żeby mogli swobodnie się poruszać. Poprzedniego dnia stemplowałam dokumenty naszych robotników i dlatego łatwiej byłoby mi przemyścić te cztery przy czterdziestu, niż iść teraz z czterema, ale w sukurs przyszło mi szczęście. Do naszego odcinka drogowego zostali przysłani robotnicy z Orszy, którzy mieli jeszcze nie podstemplowane *Ausweisy*. Zebrałam szybko *Ausweisy* robotników z Orszy i dołączyłam te cztery *Ausweisy* od „Grubego” i poszłam do *Bahnmeistra* Nietza. Na wstępie wyjaśniłam mu, że przynoszę dodatkowo *Ausweisy* robotników z Orszy i cztery *Ausweisy*

robotników skierowanych do nas przez „BW” Wilno. Nietz nie podejrzewając z mojej strony podstępu – podstemplował wszystkie. Sama po wyjściu z gabinetu Nietza byłam zdziwiona, że tak płynnie rozmawiałam z nim po niemiecku. Natychmiast przekazałam papiery „Gru-bemu”, żeby mogli swobodnie poruszać się po Wilnie.

Nadeszła wiosna, coraz więcej miałyśmy zajęć, wyprowadzałyśmy grupy chłopców poza Wilno do naszych punktów zbornych, które mieściły się przy Czarnym Trakcie. Sabina nawiązała łączność z organizacją TOT i warsztatami samochodowymi i stamtąd rekrutowała chłopców do oddziału. Oddział porucznika Fróga otrzymał nazwę „Szczerbca” jako 3. Brygada Armii Krajowej. Po reorganizacji „Szczerbiec” zmienił swoje miejsce postoju i przeniósł się w rejon Turgiel. Pierwszy raz poszłyśmy z Sabiną do oddziału w marcu 1944 roku; miejsce postoju znajdowało się wtedy we wsi Małachowce koło Turgiel. Już parę kilometrów za Rudominem zaczynał się teren, na który nie wkroczył żaden Niemiec ani Litwin, dlatego Turgiele nazwano polską stolicą partyzantki. Była to dla nas wielka frajda znaleźć się wśród swoich w wolnej Polsce, gdzie śpiewano polskie piosenki patriotyczne, gdzie w kościele parafialnym rozbrzmiewała pieśń *Boże, coś Polskę*.

Następna nasza wyprawa do oddziału, to wyprawa trzema samochodami ciężarowymi w dniu 3 maja 1944 roku. Samochody te zostały wyprowadzone przez naszych chłopaków z niemieckich warsztatów samochodowych. Uszyłyśmy z Sabiną biało-czerwone flagi i z bijącym sercem oczekiwaliśmy na nich przy ulicy Byliny w Wilnie. Szczęście sprzyjało, przyjechali, wskoczyłyśmy z Sabiną do pierwszego samochodu i ruszyłyśmy w kierunku Lipówki. Jeszcze tylko jedna kontrola przy wylocie z Wilna, ale i tu poszło gładko; papiery na próbną jazdę nie wzbudziły podejrzania. Droga była wolna. Za Rudominem wyciągnęliśmy nasze biało-czerwone flagi, aby przypadkowo spotkany nasz oddział partyzancki nie wziął nas za Niemców i nie ostrzelał. W Turgielach powitano nas entuzjastycznie. Serce się radowało patrząc na Turgiele udekorowane polskimi flagami. Na uroczystość 3 Maja zjechały wszystkie oddziały partyzanckie stacjonujące w tym rejonie. Uroczystości rozpoczęły się mszą świętą w kościele w Turgielach, po mszy odbyła się defilada wszystkich oddziałów, obiad u sióstr zakonnych w klasztorze, potem gry i zabawy na łące za ko-

ściołem. Niechętnie wracałyśmy do Wilna, do tej szarej okupacyjnej rzeczywistości.

Coraz więcej było chętnych młodych ludzi, którzy chcieli wstępować w szeregi partyzanckie, a tym samym stały się częstsze nasze wyprawy na Czarny Trakt, bo przecież ktoś musiał tych chłopców doprowadzić do oddziału.

Doszła do nas wiadomość z oddziału o wykonanym wyroku śmierci na dwóch naszych partyzantach „Burzy” i „Rysiu”; tacy wspaniali chłopcy, nie mogłyśmy z Sabiną zrozumieć dlaczego i do dzisiaj ta sprawa dla mnie jest niejasna.

Drugą przykrą wiadomością, jaką otrzymaliśmy, to bitwa pod Murowaną Oszmianką i sześciu poległych tam naszych kolegów partyzantów, a wśród nich Stanisław Lemieszek „Kawaler”, szwagier „Grubego”, a brat mojej przyjaciółki. Powstał dylemat, jak zawiadomić matkę „Kawalera”. Postanowiłyśmy z Jadzią, siostrą „Kawalera” nic matce nie mówić o śmierci syna, musiałyśmy się same najpierw oswoić z tą tragiczną wiadomością. Ale serce matki wyczuwało. Pewnego dnia wpadłam na chwilę do Jadzi, a matka Jadzi pyta, czy mam jakie wiadomości od syna, a ja niewprawna kłamać mówię, że na razie żadnych wiadomości nie mam, bo oddział „Szczerbca” przeniósł się w inny teren i nie mamy żadnych wieści. A ona na to:

— Ty coś ukrywasz, ja mam złe przeczucie – nasz Stach nie żyje.

Ja oniemiałam, lzy zakręciły mi się w oczach, Jadzia nie wytrzymała i wyznała matce okrutną prawdę. Matka Jadzi stanęła jak wryta i patrząc na nas powiedziała spokojnie:

— Nie płaczcie, Stach zginął za Polskę i wielu jeszcze zginie.

Po tych słowach wyszła do drugiego pokoju zamykając za sobą drzwi. Muszę tu nadmienić, że matka Jadzi i „Kawalera” była z pochodzenia Rosjanką. Rozpacz matki nie miała granic, zdumiewające jest jednak to, że Rosjanka wychowała wszystkie dzieci w duchu polskim i bardzo patriotycznie. Byłam zaskoczona jej słowami, niejedna matka Polka nie zdobyłaby się na to. Ojciec Jadzi, będąc jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej w Rosji ożenił się i po rewolucji przywiózł ją do Polski, mieli pięcioro dzieci: cztery córki i jednego syna, który urodził się po śmierci ojca w 1926 r.

W drugiej połowie maja 1944 roku odbyła się reorganizacja. Władysław Kitowski „Grom” zawodowy porucznik z 13. Pułku Ułanów w Nowowilejce, zostaje przeniesiony wraz z plutonem kawalerii do Sztabu i awansowany na Komendanta ORKO (Oddział Rozpoznawczy Komendy Okręgu). Ja byłam przydzielona do sekcji pani Marii Landsberg „Margaryta”, która już do końca była moją szefową. Nasza główna kwatery konspiracyjna mieściła się w Rekanciszkach na działkach wojskowych u państwa Polników. Pan Polnik – oficer rezerwy Wojska Polskiego – w tym okresie przebywał w Anglii, a majątkiem zarządzała siostra z mężem o nazwisku Ferensowie.

Do naszej grupy łączniczek podlegających „Margarycie” należała między innymi: Hanka Polnikówna „Hania” i Janka Macioszek „Jaśka”. Oddział nasz przyjął barwy 13. Pułku Ułanów. „Margaryta” zobowiązała się wyszykować emblematy w barwach 13. Pułku dla całego oddziału. W związku z tym miałyśmy sporo roboty, farbowałyśmy materiały na kolor amarantowy i szyłyśmy emblematy. Oddział rozrastał się błyskawicznie, dlatego odczuwało się duży brak siodeł; do naszych obowiązków należało również wyszukiwanie siodeł w terenie.

Praca na kolei i praca w konspiracji kolidowały ze sobą, dlatego zrezygnowałam z pracy na odcinku drogowym i przemeldowałam się do Wilna. *Ausweis* miałam podstemplowany, dlatego mogłam poruszać się bezpiecznie. W dniu 23 czerwca 1944 roku zjawiał się „Gruby” i oznajmił, że 25 czerwca mamy stawić się w Dziewieniszkach.

Ja otrzymałam od „Margaryty” polecenie zabrać siodła, które były zakonspirowane w Kolonii Wileńskiej, zdobyć kwiaty i razem z plutonowym „Kmieciem”, który w tym czasie przebywał w Nowowilejce udać się do Dziewieniszek. „Margaryta”, „Hanka” i „Janka” miały zabrać się z „Grubym”. Nasza stała trasa z Rekanciszek prowadziła drogą polną do Czarnego Traktu, potem drogą łącznikową do Szosy Oszmiańskiej. Po przekroczeniu Szosy Oszmiańskiej byliśmy już na swoim terenie wolnym od okupanta. Kiedy konie nasze były zmęczone, „Kmieć” zajeżdżał do najbliższego gospodarstwa i dokonywał podmiany koni, gospodarze zamieniali konie chętnie i nie stawiali sprzeciwu.

Przejeżdżając przez wieś Klewice zostaliśmy zatrzymani; okazało się, że w Klewicy stacjonuje d-ca Trzeciego Zgrupowania major „Jare-

na". Po krótkiej rozmowie nakarmiono nas i po wskazaniu trasy na mapie życzo nam szczęśliwej podróży.

Po południu dojeżdżaliśmy do Dziewieniszek na wygon, gdzie stacjonował nasz oddział. Miło było powitać naszych chłopców, prawie wszystkich ich znałam, byli mi drodzy jak bracia. Przyjechała również „Margaryta” z „Hanką” i „Janką”. Zajęliśmy się przyszywaniem emblematów i proporczyków, ponieważ 27 czerwca miała się odbyć wielka uroczystość. Sztab generała „Wilka” stacjonował już w szkole w Dziewieniszkach. Uroczystość rozpoczęła się 27 czerwca o godzinie 10-tej mszą polową, potem – defilada wszystkich oddziałów stacjonujących w Dziewieniszkach i okolicy, złożenie wieńców na grobach partyzantów, którzy polegli pod Trabami, a pochowani zostali przed kościołem w Dziewieniszkach. Podczas defilady nasz oddział prezentował się pięknie, wszyscy w jednakowych mundurach z emblematami i proporczykami. Komendant „Grom” był zadowolony, otrzymał pochwałę od generała „Wilka”. Po uroczystościach wróciliśmy na wygon i uczestniczyliśmy w przyjęciu imiennym komendanta „Groma”.

Pominałam jedno wydarzenie. Otóż 26 czerwca „Hanka”, „Janka” i ja składałyśmy przysięgę; ja co prawda składałam już przysięgę na kursie sanitarnym *Szarych Szeregów*, ale komendant „Grom” uznał, że nie zaszkodzi powtórzyć. Nie zapomnę chyba tego nigdy, jak powtarzając słowa przysięgi lzy cisnęły mi się do oczu, nie mogłam ich powstrzymać, wzruszenie było tak wielkie.

Szybko mijał czas przyjemnie spędzony wśród swoich na kawałku wolnej Polski, a my musiałyśmy wracać do Wilna, jak już przedtem wspomniałam, do tej szarej okupacyjnej rzeczywistości.

Po powrocie do Wilna zastaliśmy zupełnie inną sytuację niż przed wyjazdem, panował tam istny rozgardiasz, zbliżał się front i zmuszał okupanta do ewakuacji szpitali i urzędów. Ponieważ personel sanitarny średni i niższy składał się z ludności polskiej, dlatego korzystając z zaistniałego bałaganu, przy pomocy polskiego personelu udało się nam wyszabrować ze szpitala wojskowego w Nowowilejce sporą ilość sprzętu sanitarnego, leków i środków opatrunkowych. Te wszystkie leki i środki opatrunkowe przetransportowaliśmy do Kolonii Wileńskiej, gdyż tam mieścił się główny wspomniany sprzęt medyczny, który bardzo nam się przydał przy organizowaniu szpitalika polowego w Ko-

lonii Wileńskiej w domu państwa Szczepańskich. W dniu 6 lipca 1944 roku zostałam wysłana przez „Margarytę” z łącznością w celu doprowadzenia dwóch partyzantów do oddziału. Partyzanci ci mieli dostarczyć dwa siodła zdobyte ostatnio przez „Margarytę”, dlatego też musiałam wybrać najbardziej bezpieczną drogę.

Wyszliśmy z Nowowilejki w godzinach popołudniowych, szliśmy drogami polnymi między łanami zbóż, zbliżając się do Rekanciszek wyszliśmy na drogę polną, którą znałam jak własną kieszeń. Byłam pewna, że na tej drodze nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Tymczasem zostaliśmy zniechęceni przez oficera ukraińskiego, który wyskoczył ze zboża z pistoletem w rękę i krzyknął: – „Hände hoch”. Pierwsze pytanie, jakie padło z jego ust, to skąd i dokąd idziemy. Szybko opanowałam się i jak mogłam najskładniej po niemiecku odpowiedziałam – idziemy z Nowowilejki do rodziny na wsi, gdyż boimy się bombardowania, które miało miejsce poprzedniej nocy. Pamiętam dokładnie, zapytał, co miałam na ramieniu – co będzie jak każę pokazać zawartość worków. Okazało się, że on miał większego stracha od nas, kazał nam iść dalej przed siebie nie oglądając się do tyłu. Szybko przetłumaczyłam to chłopcom, a sama ukradkiem zerkałam bokiem w obawie, że może nam wpakować kulę w plecy. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że Ukraińca już nie ma, znikł tak nagle jak nagle się pojawił. Powiedziałam to chłopcom i daliśmy nura w las, który ukazał się przed nami. Zerkając w miejsce, w którym znikł Ukraińiec, ruszyliśmy skrajem lasu w dalszą drogę. Gdy zrównaliśmy się z posesją państwa Koziel-Poklewskich, zobaczyliśmy w lasku cały tabor wojskowy, który wycofując się Czarnym Traktem zjechał na odpoczynek, a ten Ukraińiec, który nas zatrzymał, okazało się że był ich dowódcą. Idąc dalej do Czarnego Traktu spotkaliśmy Renatę Baranowską „Baśkę”, łączniczkę 6. Brygady. Ostrzegłam ją, żeby się miała na baczności i ominęła posesję państwa Koziel-Poklewskich. My natomiast mieliśmy jeszcze szmat drogi, musieliśmy przejść szosę oszmiąską, na której panował dość ożywiony ruch wycofujących się wojsk niemieckich, przez co straciliśmy trochę czasu.

Gdy dotarliśmy do Sz wajcar, była już szarówka, tu właśnie miałam otrzymać wiadomość, gdzie stacjonuje nasz oddział. Natychmiast skontaktowałam się z panem Kuleszą, który miał mi przekazać wia-

domość. Okazało się, że pan Kulesza nic nie wie, ponieważ łącznik jeszcze nie przybył. Na razie zostaliśmy zaproszeni na kolację, a po kolacji ja musiałam cierpliwie czekać na przybycie łącznika. Szwajcary tętniły życiem, spotkałam tam mnóstwo kolegów z Wilna, którzy dopiero tego dnia wyszli w teren i czekają na swój przydział. Łącznik zjawił się dopiero po północy i okazało się, że mamy polecenie udać się do Białego Dworu. Natychmiast ruszyliśmy w drogę. Gdy dotarliśmy do Białego Dworu był świt. Niestety, tam już naszego oddziału nie było, tam też dowiedzieliśmy się o akcji „Ostra Brama”, w związku z tym zakręciliśmy do Rekanciszek z nadzieją uzyskania tam wiadomości o naszym oddziale.

Gdy dochodziliśmy do posesji państwa Kozieł-Poklewskich zobaczyliśmy rozbity tabor ukraiński; domyśliliśmy się, że nasze oddziały przechodziły tą drogą w kierunku na Wilno i dokonały jego rozbicia. W Rekanciszkach panował nastrój euforii, wszyscy cieszyli się z klęski okupanta niemieckiego, jakby nie zdając sobie sprawy, że nadchodzi drugi okupant. W Rekanciszkach o naszym oddziale również nie otrzymałam wiadomości, dlatego zdecydowałam zostawić chłopców i cały nasz bagaż, a sama ruszyłam do Kolonii Wileńskiej; już dochodziły odgłosy strzałów i detonacji. Kolonia Wileńska tętniła życiem, całe społeczeństwo żyło już rozpoczętym Powstaniem Wileńskim. Byli już zabici i ranni partyzanci Armii Krajowej. Natychmiast zgłosiłam się do księdza Sołtana, który był proboszczem w kościele w Kolonii Wileńskiej.

Ksiądz już organizował szpital połowy w domu państwa Szczepańskich. Przywieźliśmy natychmiast sprzęt sanitarny, leki i środki opatrunkowe, które znajdowały się w moim posiadaniu. Otrzymaliśmy polecenie ściągnięcia personelu sanitarnego i lekarza medycyny, a byli to: dr Łobzowa, dr Borowski, dr Grossberg i dr Erdman. Ściągnęliśmy również studentów medycyny mieszkających w Kolonii, a byli to m.in.: Aleksander Dawidowicz, Stanisław Michałowski, Wala Jeremicz i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Ranni leżeli na podłogach, trzeba było natychmiast starać się o łóżka, koce, sienniki i bieliznę pościelową.

Spółeczeństwo Kolonii Wileńskiej zdało egzamin na piątkę. Utworzono grupy sanitarne, które znosiły rannych z pola bitwy, inne grupy

dziewcząt zwoziły poległych żołnierzy. Muszę tu wymienić koleżanki, które brały czynny udział razem ze mną, a więc Halina Kurzys, Lucyna Uksyjewicz, Alina Woronowicz, Anna Halmutówna, Bogumiła Baranowska, Hanna Polnikówna, Julia Soroko, moja siostra Lucyna Mackiewiczówna, „Kozą” i wiele jeszcze innych dziewcząt, których nazwisk już nie pamiętam (przepraszam, pominęłam dwie panny Koperkiewiczówne: Halinę i Janinę).

Po uporaniu się z kłopotami typu sanitarnego, zmartwiona pani Szczepańska, która odstąpiła swój dom pod szpitalik, mówi do nas:

— Dziewczynki, a czym my będziemy żywić rannych?

Nie było rady – trzeba było iść na żebry. Wzięłyśmy z „Kozą”, której nazwiska nie pamiętam, kosze i poszłyśmy od domu do domu. Każdy dzielił się z nami resztkami swoich zapasów, tak że po paru godzinach wróciłyśmy z pełnymi koszami.

Nie pamiętam, czy wspomniałam o tym, że od paru miesięcy mieszkaliśmy już w Kolonii Wileńskiej u mojej koleżanki Wandy Tumas przy ul. Krańcowej. Ponieważ poczułam, że jestem głodna, pojechałam rowerem do domu, żeby się posilić. Przejeżdżając przez szosę, zobaczyłam wóz taborowy płaczący się po szosie bez furmana; byłam pewna, że jest to wóz któregoś z naszych oddziałów. Dlatego szybko zatrzymałam konia, wrzuciłam rower na wóz i przyjechałam na nasze podwórko z myślą odnalezienia właściciela wozu. Gdy wjeżdżałam na podwórko, wyszedł z domu mój Ojciec i pyta, skąd wzięłam ten wóz, bo on przed piętnastoma minutami widział dwóch Niemców jadących tym wozem, a ja mu na to, że to niemożliwe, to jest na pewno nasz wóz taborowy. Po sprawdzeniu zawartości wozu okazało się, że Ojciec miał rację; był to rzeczywiście wóz porzucony przez Niemców na szosie, a dwaj niemieccy żołnierze, których widział mój Ojciec, uciekli do pobliskiego lasu i tam się skryli. Jakże ogromna była moja radość, gdy po sprawdzeniu zawartości okazało się, że w wozie pod słomą leżały ćwierć świeżo ubitego wołu i dwie skrzynki słoniny – była to wtedy wspaniała zdobycz. Z miejsca skoczyłam rowerem do pani Szczepańskiej podzielić się tą wiadomością.

— Będziemy mieli czym żywić nie tylko rannych, ale i głodnych żołnierzy Armii Krajowej, którzy po nocnym marszu na akcję „Ostra Brama” i walce pod Wilnem odpoczywali w Kolonii Wileńskiej.

Wzięłam jednego chłopca z wózkiem i pojechaliśmy, żeby przywieźć naszą zdobycz do szpitalika. Ojciec mój w międzyczasie wyprzął konia, a ponieważ nie było go gdzie paść, porozumiał się z panem Stasiem Bartoszewiczem, mężem mojej koleżanki Wandy, u której mieszkaliśmy. Pan Bartoszewicz zobowiązał się zaprowadzić tego konia na działki swoich rodziców – tam go będzie paść, a jak będzie potrzebny, to go będzie można zabrać.

Rano następnego dnia okazało się, że na Dolnej Kolonii w zbożu są polegli partyzanci; trzeba było pojechać i przywieźć ciała poległych żołnierzy do kościoła. Posłaliśmy dwóch chłopców do pana Bartoszewicza na działki po konia i wóz. Okazało się, że pan Bartoszewicz im konia nie wydał, musiałam sama pojechać, wyklócić się i zabrać konia, którego chciano już sobie przywłaszczyć.

Pojechałam z Tadzikiem Malawko i Leszkiem Szczepańskim na Dolną Kolonię po poległych żołnierzy. Przywieźliśmy trzech, pamiętam pseudonim tylko jednego, był to „Sokół” z 8. Brygady „Tura”. Wszyscy zostali pochowani przez księdza Sołtana na prowizorycznym cmentarzyku za płotem plebanii na Górnej Kolonii.

Gdy się zjawiłam w szpitaliku u państwa Szczepańskich, doktor Polkowski przy spotkaniu odezwał się do mnie w ten sposób:

— Dziewczyno, ty żyjesz?

Zaskoczyło mnie to pytanie, okazało się, że ktoś puścił kaczkę, że jakaś zabłąkana kula trafiła mnie na Dolnej Kolonii. Odpowiedziałam doktorowi, że mnie kule omijają, gdyż noszę ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej i obrazek Opatrzności, który otrzymałam od ks. Sołtana. Doktor skwitował to uśmiechem i polecił mi udać się do majątku Czarna, gdzie mieściła się czołówka sanitarna Armii Krajowej i przywieźć nici chirurgiczne i katgut, potrzebne do natychmiastowej operacji.

Nie tracąc czasu ruszyłam w drogę przez Rekanciszki. Jadąc między łąkami zbóż dotarłam do Czarnego Traktu i wsi Doliny, a tu *sztukas* niemieckie sięją pogrom na nasze jednostki partyzanckie wycofujące się spod Wilna. Teren odkryty, parę krzaków bzu rosnącego przy drodze, nie dają dostatecznego schronienia wozom sanitarnym z Batalionów Lidzkich, które zatrzymały się tam dla opatrzenia rannych żołnierzy. Muszę się przyznać, że miałam solidnego stracha, ale ufna w swoje talizmany, wierzyłam, że nic mi się złego nie stanie. Po nalo-

cie *sztukasów* w rozmowie z sanitariuszkami zorientowałam się, że nie mają zielonego pojęcia, gdzie jest najbliższa czołówka sanitarna. Doprowadziłam wozy sanitarne do majątku Czarna, gdzie lekarze zajęli się natychmiast rannymi, a ja po otrzymaniu nici i katgutów wróciłam do Kolonii Wileńskiej. Wiadomości o naszym oddziale nie było i nie miałam pojęcia, gdzie ich szukać, poza tym czułam, że jestem potrzebna w Kolonii Wileńskiej.

Trzecia Brygada „*Szczerbca*”, po stoczonych bitwach z pociągiem pancernym niemieckim, przekroczyła tory kolejowe w Kolonii Wileńskiej i zatrzymała się na Belmontie. Dochodziły od nich nie potwierdzone wiadomości, trzeba było pójść na Belmont i zorientować się w sytuacji. Rano o świcie ruszyłam na rozpoznanie, ubrałam szaro-zielony nieprzemakalny płaszcz (przypląciłam ten niefortunny strój zapaleniem płuc). Rano, kiedy wychodziłam z domu, było zimno, ale biegnąc między krzakami spociłam się i zdjęłam płaszcz; odczułam to dopiero wieczorem w domu. Z Belmontu wróciłam z dobrą wiadomością – rannych u „*Szczerbca*” nie było, część Oddziału z por. „*Szczerbecem*” walczyła pod Wilnem razem z wojskami radzieckimi, a część odpoczywała na Belmontie.

Po powrocie z Belmontu otrzymałam wiadomość, że nasz oddział stacjonuje w majątku Wołkarabiszki. Natychmiast udałam się do Wołkarabiszek. Tam spotkałam Barbarę Dumnicką „*Aleksandre*” i wiele mi znanych z siatki osób, które po akcji „*Ostra Brama*” dołączyły do naszego Oddziału. Musiałam zostać w Wołkarabiszkach, ale stan mojego zdrowia pogarszał się błyskawicznie, gdyż przy głębszym oddechu odczuwałam ostre klucie w płucach. Z powodu coraz gorszego samopoczucia zwróciłam się do Komendanta z prośbą, aby mnie zwolnił na parę dni, aż się wykuruję. Komendant przychylając się do mojej prośby dał mi samochód ciężarowy i polecił zabrać z czołówki sanitarnej w Antoniszkach rannych żołnierzy.



Michal Holak „*Bonifacy*”

Natychmiast udałam się do Antoniszek, tam przekazałam polecenie Sztabu doktorowi Holakowi, który wspólnie z trzema lekarzami wybrał ciężko rannych, którzy wymagali leczenia szpitalnego i odpowiednich warunków, a byli to: „Grodniak” po amputacji obu nóg i „Sambur”, „Burza” z 8. Brygady „Tura”, „Jastrząb” z Batalionów Lidzkich i jeszcze kilku partyzantów, których pseudonimów nie pamiętam. Do transportu rannych oprócz mnie były przydzielone jeszcze dwie sanitariuszki Antonina i Jagoda. Po przewiezieniu rannych żołnierzy do Kolonii Wileńskiej i rozlokowaniu ich w szkole, która była już przygotowana na przyjęcie rannych, wróciłam do domu, gdyż czułam się fatalnie, miałam wysoką temperaturę.

Rodzice natychmiast wpakowali mnie do łóżka i zaaplikowali bańki. Bańki stawiał mi mój Ojciec; trzeba przyznać, że robił to fachowo. Noc była koszmarna, przeżycia tych kilku dni i zmęczenie dały upust w koszmarnych snach. Nad ranem temperatura spadła i zasnęłam spokojnym snem. Gdy obudziłam się, było już południe. Moje samopoczucie było dobre, wstałam z łóżka, umyłam się i pomimo interwencji rodziców poszłam do szkoły.

Dzień był upalny, a ja byłam ubrana w cienką białą bluzkę, przez którą przeświecały czarne placki po bańkach. W szkole zastałam dwie pielęgniarki Antoninę i Jagodę, które wprowadzały już swoje porządki. Ranni żołnierze dowcipkowali, byli zadowoleni z wygodnych łóżek i czuli się tutaj dobrze. Ludność Kolonii brała czynny udział w pomocy rannym żołnierzom, znoszono artykuły spożywcze, owoce, a nawet i kwiaty. Po zorientowaniu się, że im nic nie brakuje, udałam się do szpitalika polowego w domu państwa Szczepańskich. Na progu tego szpitalika spotkałam moją starszą siostrę Lucynę, która też tam pracowała w roli pielęgniarki i ona właśnie przekazała mi wiadomość o zgonie partyzanta, młodego chłopca z 3. Brygady, którego przywiozłam do szpitalika z postrzałem brzucha.

Smutno mi się zrobiło, poszłam w stronę lasu za plebanię ukoić swój smutek. Wszystko wydało mi się takie niesprawiedliwe, dlatego tacy młodzi chłopcy muszą odchodzić z tego świata, dlatego naród polski ponosi takie ofiary w imię wolności. Idąc tak ścieżką i medytując spostrzegłam kolegów z 3. Brygady „Szczerbca”, patrzę dalej a

na pniu siedzi Leszek Kukięło „Foka” i flegmatycznie obcina scyzorykiem nogawkę od swoich spodni. Na moje pytanie:

— „Foka”, co ty robisz? tak odpowiedział:

— Wiesz, chyba zwariowałem, myślałem że jestem poważnie ranny w nogę, a okazało się, że tylko lekkie draśnięcie uda, a nogawka spodni ucięta i jak ja teraz będę wyglądał.

Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, postaram się temu zaradzić. Zaprowadziłam „Fokę” do naszego domu, siostra moja Lucyna zrobiła mu opatrunek, a ja postarałam się o spodnie. Przez nasz dom w Kolonii Wileńskiej przy ul. Krańcowej przewinęło się mnóstwo kolegów partyzantów, zwłaszcza w okresie rozbrojenia.

Po zdobyciu Wilna, ja z Jagodą wybrałyśmy się zdobyczym naszym koniem do Wilna po broń i amunicję pozostawioną przez Niemców. Przywiezłyśmy całą furę broni, koń ledwo ciągnął. W Markucjach zatrzymał nas patrol sowiecki i chciał nam podmienić konia, ale jakoś udało nam się go przekonać, tłumacząc że nasz koń jest zmęczony i daleko na nim nie zajada, a o kilometr dalej na łące pasą się ładne konie i tam sobie wymieniają; naturalnie był to blef. Po przywiezieniu broni do Kolonii miałyśmy kłopot ze zmagazynowaniem jej. Zdecydowałam, że na razie złożymy w naszym składziku na opał.

Następnego dnia nie myślałyśmy już o broni, gdyż otrzymałyśmy rozkaz, żeby wszyscy partyzanci stawili się na drodze prowadzącej do Wilna pod Belmontem, żeby oficjalnie jako Armia Krajowa wkraczać do Wilna. Staliśmy tak pod Belmontem od rana do obiadu – okazało się, że władze sowieckie zabroniły oddziałom Armii Krajowej wkraczać do Wilna, aby wziąć udział w defiladzie. Musieliśmy się rozejść. Był to jeden z najboleśniejszych momentów, jaki przeżyli nasi żołnierze. Następnego dnia ukazał się artykuł w prasie, że Wilno zostało zdobyte przez Armię Radziecką, żydowską i litewską partyzantkę, ani słowa o naszych żołnierzach, o sektach poległych żołnierzy Armii Krajowej w akcji „Ostra Brama”. Żołnierze Armii Krajowej, którzy indywidualnie udali się do Wilna, aby odwiedzić swoje rodziny, byli rozbrajani przez partyzantów rosyjskich i żydowskich, którzy w mig pojawili się na ulicach odstawiając wielkich bohaterów, co naturalnie nie wróżyło nic dobrego.

Po powrocie do domu zastałam u nas Barbarę Dumnicką „Aleksandrę”, która była w Wilnie i w powrotnej drodze wpadła do mnie. Przekazałam jej wiadomość o przywiezionej broni i amunicji z Wilna, którą na razie trzeba było zabrać do Wołkarabiszek i zamelinować. Umówiliśmy się w ten sposób, że jutro uzgodni się z „Gromem”, przyśle samochód po broń i ja zabiorę się razem do oddziału.

Było to 17 lipca 1944. Od samego rana czekam na samochód, nie wychodzę z domu i nic nie wiem, co się dzieje. Nie pamiętam, już kto to był i kto przyniósł tę tragiczną wiadomość o rozbrajaniu naszych żołnierzy przez Armię Czerwoną i aresztowaniu d-cy Okręgu Wileńskiego generała Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”. Nie dowierzając pogłoskom udałam się do szpitalika i zastałam ogólne zamieszanie. Jeszcze nie wierząc mówię, że wczoraj była u mnie Barbara Dumnicka i mówiła, że generał „Wilk” był na spotkaniu u sowieckiego generała i że na tym spotkaniu doszło do porozumienia. Generał Czerniachowski d-ca 3. Frontu Białoruskiego wyraził zgodę na utworzenie polskiej samodzielnej 19. Dywizji i że idziemy razem prać Niemców. Dlaczego nastąpiła taka zmiana? Doktor Łobzowa skwitowała to jednym zdaniem:

— Im wierzyć nie wolno.

W związku z zaistniałą sytuacją musieliśmy szybko zająć się likwidacją szpitalików, lżej rannych rozlokować po melinach, a tych, którzy wymagają opieki lekarskiej na co dzień, przerzucić do Wilna do szpitala Czerwonego Krzyża. Zaczęła się bieganina, trzeba było znaleźć miejsce dla wszystkich rannych żołnierzy. Przy pomocy ogromnego zaangażowania społeczeństwa Kolonii i pobliskich okolic szpitala połowe udało się zlikwidować. Transportem rannych do szpitala w Wilnie zajęli się lekarze. Ustalono też opiekę sanitarną nad rannymi, którzy wymagali takiej opieki na co dzień.

Następnego dnia zjawila się u mnie „Margaryta” z partyzantem „Johannem”. Był to alzatczyk, który w 1943 roku zdezerterował z armii niemieckiej i po odbyciu okresu próbnego został zaprzysiężony i wcielony do 3. Brygady „Szczerbca”. Powstał teraz niemały problem, trzeba było go przechować, u nas nie mógł pozostać, bo *vis à vis* naszego domu kwaterowali ruscy *kamandziiry*. Ale zanim znalazłam jemu melinę, „Johann” mieszkał u nas pod werandą, wieczorem dopiero wyłąził

i prostował swoje kości. Po paru dniach znalazłam mu melinę w Nowowilejce; trzeba było go odtransportować pociągiem.

Obwiązałam mu głowę bandażem i jako kontuzjowanego wiozę go do lekarza. Przyszliśmy na przystanek kolejowy i czekamy na pociąg, posadziłam „Johanna” na ławce i powiedziałam mu wcześniej, że pod żadnym pozorem nie wolno mu się odzywać. Tylko na moment oddaliłam się, żeby zamienić parę słów z koleżanką i widzę jak do „Johanna” podszedł ruski żołnierz i coś do niego mówi, a „Johann” rozpaczliwie gestykuje rękoma. Natychmiast podbiegłam i wytłumaczyłam ruskiemu, że to jest mój brat kontuzjowany, a ja go wiozę do lekarza. A ruski chciał po prostu porozmawiać – ale trafił!

W Nowowilejce okazało się, że „Johann” może pozostać tylko parę dni. Zawiadomiłam o tym „Margarytę” i powiedziałam jej, że jest bardzo ciężko znaleźć melinę dla takiego Niemca, który od 1943 roku był w partyzantce polskiej. W związku z tym porucznik Władysław Kitowski „Grom” Komendant ORKO polecił wysłać „Johanna” do „Jura”, który w tym czasie przebywał ze swoim plutonem w Puszczy Nalibockiej. Po paru dniach „Mik” z „Johannem” wyruszyli do Puszczy Nalibockiej, aby zameldować się u por. „Jura”. Niestety do oddziału dotarł tylko „Johann”, natomiast „Mik” wpadł w ręce ruskich *istrebicielei* i do dnia dzisiejszego ślad po nim zaginął.

Nasza praca konspiracyjna trwała nadal, bez przerwy utrzymywaliśmy kontakt z naszymi żołnierzami, których część jeszcze ukrywała się w terenie. Ja otrzymałam polecenie nawiązania łączności z plutonowym „Bajką”, który ukrywał się w Kamiennym Łochu leżącym w połowie drogi między Wilnem a Oszmianą. Odnalazłam go bez żadnych trudności i przekazałam mu polecenie Komendanta, aby zbierał rozproszonych żołnierzy, melinował broń i czekał na wiadomość o dołączeniu do por. „Jura”. Niestety, następna łączność z „Bajką” dotarła za późno. Jeden z żołnierzy, który kontaktował się z „Bajką”, został złapany, przez *istrebicielei* i podczas tortur wydał jego miejsce pobytu. „Bajka” otoczony przez *istrebicielei* został bestialsko zamordowany.

Jesienią 1944 roku zostałam wysłana do oddziału por. „Jura” do Puszczy Nalibockiej oddalonej od Wilna o 100 km. Zawsze idąc w teren z meldunkiem brałam torbę, a w niej były nici, farba, sacharyna na sprzedaż, żeby stworzyć pozory handlu, dla zamaskowania wła-



Przed kościołem w Bohdanowie

ściwego celu. Poza tym wstępując do gospodarstw pod pretekstem handlu, dowiadywałam się co słychać w terenie, jakie są nastroje, gdzie były łapanki itp. Po drodze miałam wytyczone miejsca kontaktowe, gdzie mogłam przenocować. Jednym z takich miejsc był dom w Holszanach, u pani doktor Maciusowicz. Tam się zatrzymałam na noc. Doktor Maciusowicz dowiedziała się, że samochód z *sielsowietu* jedzie do Bohdanowa; poprosiła, żeby mnie zabrali i tak udało się dojechać do Bohdanowa, a stamtąd przez Małą Puszcę idąc do gospodarstwa dowiedziałam się, że jakiś polski oddział został rozbity przez *istrebiciele*.

Gdy dotarłam na skraj puszczy, do „Rozalki” (był to nasz dom kontaktowy, gdzie miałam się spotkać z por. „Jurem”), okazało się że rzeczywiście mieli styczność z *istrebicielami*, ale por. „Jurowi” udało się z oddziałem wywinąć z okrążenia i prawdopodobnie jeszcze dzisiaj będzie u „Rozalki”. W nocy zjawił się „Jur” i okazało się, że jego oddział wyszedł bez strat w ludziach, ale będzie musiał zmienić miejsce postoju, bo na tym terenie są częste obławy i nie chce narażać miejscowej ludności, która sprzyja polskim partyzantom. W oddziale zostawiłam pieniądze, mapy i kompas, a „Jur” miał udać się z oddziałem w głąb Puszczy Nalibockiej. Następne kontakty miały być utrzymywane nadal przez „Rozalkę”, której brat był w oddziale u „Jura”.

Gdy wróciłam do domu, okazało się, że rodzice moi zostali wysiedleni przez ruskich na Dolną Kolonię przy ul. Dolnej do państwa Jakowlewów. Poszłam więc pod wskazany adres, zastałam całą rodzinę w komplecie łącznie z „Burzą”, partyzantem z 8. Brygady, który mieszkał u nas po likwidacji szpitalika. Ja po odpoczynku i zjedzeniu smacznego obiadu u Mamy musiałam udać się do Wilna, aby zdać relację z podróży.

Moja przełożona „Margarjta” mieszkała już w Wilnie przy ul. Sosnowej i poradziła mi, żeby się sprowadzić do niej i razem zamieszkać; tak będzie bezpieczniej, bo w Kolonii jestem spalona i mogą mnie zaarrestować. Pojechałam więc do domu, przedstawiłam rodzicom tę propozycję. Rodzice wyrazili zgodę, zabrałam więc swoje rzeczy i zamieszkałam u „Margarjty”. Tam nas nie znano i byliśmy całkiem bezpieczni. Od czasu do czasu wpadałam do Kolonii, aby się skontaktować ze Staszkiem Wejsem „Piusem”, który ukrywał się w Dolnej Kolonii w domu u cici Tadeusza Konwickiego. „Grom” zmienił pseudonim na „Orlicz” i szykował się do wyjścia w teren, aby się połączyć z oddziałem por. „Jura”. W związku z powyższym musiałam przygotować lokum na spotkanie grupy partyzantów, którzy razem z „Orliczem” mieli wyruszyć w teren. Uzgodniliśmy z „Piusem”, że najbardziej bezpiecznym miejscem będzie mieszkanie „Piusa”, gdyż jest połączone z zakonspirowanym przejściem do mieszkania jego teściów, którzy mieszkali na piętrze. Musieliśmy także powyciągać i przygotować dla nich broń i amunicję.

W pierwszych dniach listopada 1944 roku (dokładnej daty już nie pamiętam) wyruszyliśmy małymi grupkami z Wilna do Kolonii Wi-

leńskiej; ja z „Grubym” szłam pierwsza, w pewnej odległości „Czarny” z „Hanką” i na końcu „Orlicz” z „Margarytą”. Gdy doszliśmy do Kolonii Wileńskiej, było już ciemno. Sprawdziłam, czy w domu u „Piusa” wszystko w porządku. Po sprawdzeniu dałam znać pozostałym, że droga jest wolna.

Po parogodzinym odpoczynku i naradzie odprowadziłam ich znanymi ścieżkami do Rekanciszek do domu państwa Polników, gdzie mieszkały moje koleżanki łączniczki – Hanka Polnik i Janka Macioszek. Nie pamiętam już, kto tę grupę poprowadził dalej. Ja z „Margarytą” wróciłam do Kolonii, przenocowałyśmy u moich rodziców i następnego dnia ruszyłyśmy do Wilna.

Ile dni minęło od wyjścia „Orlicza” w teren nie pamiętam, tydzień a może i więcej, gdy otrzymałam od „Margaryty” polecenie udania się z meldunkiem do oddziału „Orlicza”. Pamiętam, że był to folwark w okolicy Szumska. Gdy przybyłam na umówione miejsce „Orlicza” z oddziałem jeszcze nie było. Około północy zjawił się.

Po przekazaniu wiadomości z Wilna, otrzymałam polecenie udania się rano do apteki w Szumsku i zabrania leków i środków opatrunkowych.

Po powrocie z Szumska udałam się w powrotną drogę do Wilna, a „Orlicz” z oddziałem miał ruszyć wieczorem w rejon Stefaniszek. Następny kontakt „Orlicz” wyznaczył w Stefaniszkach.

Folwark Stefaniszki był własnością państwa Dumnickich, bywałam tam częstym gościem. Córka państwa Dumnickich „Baśka” była łączniczką naszego oddziału i jednocześnie najlepszą moją przyjaciółką. Mama „Baśki” pani Eugenia była wspaniałą postacią, w okresie okupacji niemieckiej przechowywała rannych akowców, udzielała rady i pomocy okolicznym chłopom, którzy ją szanowali i zawsze ostrzegali przed obławami *istrebicielei*. Pomimo tego w lutym 1945 roku pani Eugenia z córką „Baśką” zostały aresztowane i wywiezione w głąb Rosji do obozu pracy jako wrogowie Związku Radzieckiego. Wróciły z zesłania dopiero po jedenastu latach w roku 1956 – „Baśka” z gruźlicą płuc. Po powrocie do Ojczyzny, pomimo opieki lekarskiej, jaką ją otaczano, zmarła po dwóch latach w 1958 roku. Pochowana została na cmentarzu w Lublinie, gdzie mieszkała jej mama pani Eugenia po powrocie do kraju.

Następna moja łączność, jak już przedtem wspominałam, była w Stefaniszkach. Gdy dotarłam tam, byłam zaskoczona obecnością pani Hanki (sympatia „Czarnego”). Na pytanie skierowane do „Baśki”, co tu robi Hanka, „Baśka” oznajmiła mi, że przywiozła tu panią Hankę na życzenie por. „Czarnego”. Okazało się, że „Czarny” wykorzystał nieobecność komendanta „Orlicza”, który udał się na spotkanie z „Jurą”. Kiedy Komendant wrócił do oddziału, był bardzo niezadowolony z obecności pani Hanki.

Święta Bożego Narodzenia, a raczej wigilię oddział planował spędzić w Stefaniszkach. Miałyśmy polecenie przywieźć księdza z Wilna. W dniu wigilijnym zorganizowałam małe wygodne saneczki, rączego konika i pojechałam z „Margarytą” po umówionego wcześniej księdza kapelana z klasztoru sióstr benedyktynek w Wilnie przy ul. Wileńskiej. Ksiądz kapelan miał odprawić Pasterkę i uczestniczyć w wieczry naszego oddziału. Odwiozłam księdza i „Margarytę” do Rekanciszek, sama natomiast musiałam wracać na Wigilię do domu rodziców. Bardzo chciałam spędzić wigilię z „Margarytą” w oddziale, ale musiałam zadośćuczynić prośbie rodziców i spędzić święta w gronie najbliższych.

Po świętach Bożego Narodzenia Oddział wyruszył w kierunku Puszczy Nalibockiej, aby połączyć się z oddziałem por. „Jura”. W połowie stycznia 1945 roku otrzymałam polecenie zabrania z Kolonii Wileńskiej siostry „Antoniny” i dwóch chłopców partyzantów „Waldka” i „Urkę”, których miałam odprowadzić do Oddziału. Udałam się z Wilna do Kolonii Wileńskiej, po drodze wstąpiłam do koleżanki Inki Rakowskiej i tam dowiedziałam się, że jestem już poszukiwana przez NKWD – ostrzeżono mnie, żebym broń Boże nie szła do domu rodziców, bo prawdopodobnie jest tam „kocioł”. Wobec takiego ostrzeżenia poszłam na zwiady. Torbę, którą miałam ze sobą, zostawiłam w sklepie u Hanki Halmutówny, która tam pracowała, a sama udałam się na ulicę Dolną, gdzie mieszkali moi rodzice. Naprzeciwko naszego domu mieszkała pani Helena Butkiewicz, którą znałam i miałam do niej pełne zaufanie. Wstąpiłam do niej, aby dowiedzieć się, czy nie zauważyła czegoś podejrzanego w naszym domu. Niestety, odpowiedziała, że nic nie zauważyła, natomiast bardzo chętnie ofiarowała się pójść i sprawdzić, ja natomiast miałam poczekać na jej powrót w jej

mieszkanu. Czas mijał, a pani Helena nie wracała. Zaniepokojona wyszłam na ulicę, a tu widzę nadjeżdżające sanie, a w nich w białym kożuszkę siedzi enkawudzista – zatrzymuje mnie skrecając konia w nasze podwórko i mówi:

— *Chadzi, chadzi popilnuj, laszadziej* (Chodź, chodź popilnujesz koni).

A ja mu na to:

— *Charaszo, a patom pakatajesz mienia* (Dobrze, a potem mnie przewieziesz). A on na to:

— *Da, da* (tak, tak).

Przywiązał konia do słupka i szybkim krokiem skierował się do naszego domu. Gdy zniknął za rogiem domu – ja w nogi, jak przeskoczyłam płot u państwa Michniewiczów, nie wiem i wpadłam jak bomba do mieszkania Halinki Michniewicz. Halinki w domu nie było, była tylko jej mama, która widząc moje zdenerwowanie domyśliła się zagrożenia, jakie mnie czeka, wiedziała już o tym, że w naszym domu jest kociol. Poradziła mi, żebym uklękała i razem z nią odmówiła „Pod Twoją obronę” i poleciła się opiece naszej Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Wieczorem ruszyliśmy do Rekanciszek, przenocowaliśmy u pani Kozieł-Poklewskiej i o świcie ruszyliśmy w kierunku Czarnego Traktu. W jednym z folwarków, gdzie była nasza siatka konspiracyjna, dostaliśmy konia z sankami i tak dotarliśmy do wyznaczonego miejsca. Był to folwark Rakańce, nie pamiętam już nazwiska właściciela, bodajże państwo Sosnowscy. Tam mieliśmy czekać na patrol, który miał nas podebrać i doprowadzić do Oddziału. W nocy zjawił się patrol, przeczekaliśmy w Rakańcach cały dzień i wieczorem ruszyliśmy w kierunku Puszczy Nalibockiej. Mogliśmy poruszać się tylko nocą, na dzienne postoje i odpoczynek zatrzymywaliśmy się u gospodarzy, którzy należeli do naszej siatki konspiracyjnej i doskonale orientowali się, gdzie są obławy *istrebiceli*.

Po dotarciu do oddziału w Puszczy Nalibockiej przekazałam meldunek, z którego wynikało, że „Orlicz” ma sam podjąć decyzję, czy pozostać na terenie wileńskim, czy zdecydować się na przejście granicy na tereny białostockie. W puszczy znajdował się jeszcze jeden oddział Samoobrony Ziemi Wileńskiej – oddział 8. Brygady „Tumrego”. „Orlicz” postanowił spotkać się z „Tumrym” i wspólnie podjąć decyzję. Po kilku dniach doszło do spotkania, a wynikiem tego spotkania był usta-



Matka Boska Ostrobramska

lony marsz na zachód na tereny białostockie. Ja miałam wrócić do Wilna, z meldunkiem o podjętej decyzji obu oddziałów, dopiero z następnego postoju. Połączone dwa oddziały – w sumie ponad 150 partyzantów ruszyło na zachód. Poruszaliśmy się z wielką ostrożnością, gdyż wiedzieliśmy o grasujących dużych oddziałach sowieckich *istrebicielei* na terenie Puszczy Nalibockiej, których zadaniem było tropienie polskich oddziałów Samoobrony Ziemi Wileńskiej. Zatrzymaliśmy się

we wsi Rawiny koło Karolicz. Wieś była położona w wąwozie, dowódcy nasi rozstawili warty i wydawało się wszystkim, że możemy spokojnie odpoczywać. Ja następnego dnia miałam udać się do Wilna, a oddział miał ruszyć w dalszą drogę.

Tymczasem we wsi zatrzymano parę osób, które przyszły w jakichś tam sprawach. To już Komendantowi się nie podobało. Wezwał więc „Grubego” i polecił mu zrobić rozeznanie ewentualnego wycofania się ze wsi. „Gruby” zrobił rozeznanie i przedstawił Komendantowi plan ewentualnego wycofania się ze wsi przez zamarzną rzeczkę, która przepływała przez wieś i była osłonięta drzewami. „Gruby” jednak nie przewidział, że rzeczka była kręta i wycofujące oddziały mogły zaklinować się, jak się potem okazało. W południe rozległy się pierwsze strzały, Komendant zarządził alarm, wybiegłam z chaty z „Antoniną” i „Luizą”. Strzelanina rozgorzała na dobre. Poszłyśmy drogą w górę, gdzie były stanowiska naszych chłopców. Chłopaki leżąc w śniegu ostrzeliwali przeciwne wzgórze, byli już zabici i ranni. „Antonina” i „Luiza” robiły już opatrunki. Ja natomiast zobaczyłam taborowe sanie, które bez furmana parły na polanę. Ponieważ polana była pod obstrzałem, chciałam je zatrzymać, wskoczyłam na sanie, ale lejce zwisały między saniami a koniem. Chciałam złapać lejce, niestety nie udało się, sanie były za wysokie, a moje ręce za krótkie i tak leżąc na brzuchu wjechałam na polanę. Widzę, jak kule sypią w śnieg, widzę, jak kula przeszływa brzuch konia, a na białym śniegu pozostają czerwone plamy krwi, a koń galopem przebiega do przodu. Polana była niewielka, a potem las sosnowy i niżej dolina. Widzę „Grubego” i podchorążego „Cezara”, którzy kierują wycofaniem naszego oddziału. Stało już tam kilka par san i o dziwo na jednych saniach widzę mój chlebak, który – jak mi się wydawało – zostawiłam w chacie u gospodarza, u którego miałyśmy kwaterę. Ucieszyłam się bardzo, że ocalał, bo w chlebaku tym był obrazek Opatrzności, który przed akcją „Ostra Brama” otrzymałam od księdza Sołtana. Nosiłam go zawsze przy sobie i wierzyłam, że Opatrzność czuwa nade mną.

Natychmiast po sformowaniu pierwszej grupy ruszyliśmy w kierunku na zachód. Nie pamiętam już miejscowości, w której zatrzymaliśmy się, była już szarówka. Był już tam Komendant i kilku rannych żołnierzy, którym udało się wycofać. Robiłam opatrunki, bo „Antoni-

ny" i „Luizy" w naszej grupie nie było, Komendant był bardzo zdenerwowany, poza tym lekko ranny, nie miał wiadomości o stratach, jakie poniosły oba oddziały. Zaproponowałam Komendantowi, że udam się do sąsiedniej wsi i zasięgnę języka, ale Komendant kategorycznie zabronił. Podzielił nas na trzy grupy i każda z naszych grup miała indywidualnie przedzierać się do Stefaniszek, gdzie mieliśmy się wszyscy spotkać.

Ruszyliśmy w drogę. W mojej grupie był: „Gruby", „Grzybek", „Jastrząb" i jeszcze kilku partyzantów, których pseudonimów nie pamiętam. Pierwszy nasz postój był w lesie.

Gdy zaczęłam zmieniać skarpety, stwierdziłam, że mam odmrożone palce u obu nóg. Koledzy poradzili mi zdjąć buty i zaczęli rozcierać palce śniegiem, palce były białe jak u truposza. Ponieważ nacieranie śniegiem nic nie pomogło, a palce moje nadal były białe jak kość słoniowa, postanowiłam zmienić buty i skarpety, które miałam w plecaku, a buty, które miałam na nogach wrzuciłam do sań, gdyż były zmarznięte na kość.

Ze względu na bezpieczeństwo, aby nie zdradzić miejsca postoju przed nieprzyjacielem, nie wolno było rozpalać ogniska. Pożywieniem naszym był zmarznięty chleb i zmarznięta szynka solona, która znajdowała się w naszych zapasach.

Szarówką wyruszyliśmy w dalszą drogę. Następny nasz postój to była kolonia na uboczu drogi. Przyjęto nas tam bardzo gościnnie – wszyscy byli bardzo zmęczeni i zziębnięci całonocną jazdą. Mnie natomiast nurtowały moje odmrożone palce; po zdjęciu butów próbowałam je rozcierać, ale to nic nie pomogło. Przypomniałam sobie, jak będąc dzieckiem odmroziłam sobie nogi wylewając ślizgawkę w czasie ferii świątecznych, wtedy nasza gospośnia kazała mi moczyć nogi w zimnej wodzie, a potem smarowała naftą i kazała je trzymać przed rozpalonym piecem. Pamiętam, że po tych zabiegach noc była niezbyt przyjemna, ale na drugi dzień czułam się dobrze i poszłam na łyżwy. Mając na myśli ten sposób leczenia, poprosiłam tutaj też gosponię, u której kwaterowaliśmy o trochę nafty, posmarowałam palce i trzymałam przed rozpalonym piecem. Po półgodzinnej kuracji owinęłam palce bandażem i poszłam spać. Obudziłam się, kiedy poczułam przykry ból, odwinęłam bandaże i zobaczyłam na nogach ogromne bąble. Zo-

rientowałam się, że popełniłam błąd, grzejąc nogi przed piecem po prostu je poparzyłam. Nie mówiąc nic nikomu, owinęłam je czystym bandażem, ale zaistniał nowy problem, nie mogłam wpakować nóg do butów. Kiedy powiedziałam o tym „Grubemu”, ten nie wiem skąd – po chwili przyniósł mi męskie duże kamasze (nawet nowe), w które mogłam schować obolałe nogi.

O zmroku ruszyliśmy w dalszą drogę. Odległość dzieląca nas od Stefaniszek na obecne czasy wydaje się śmieszna, ale myśmy pokonywali ją w ciężkich warunkach, mogliśmy poruszać się tylko nocą omijając większe wsie, aby uniknąć spotkania z sowieckimi *istrebicielami*, którzy nas tropili. Trzeciego dnia dotarliśmy do Klewickich Lasów i tu nasza szpica natknęła się na *istrebicieli*. Natychmiast skierowaliśmy nasze sanie w las. Ja uzgodniłam z „Grubym”, że będę się starała dotrzeć do Stefaniszek sama, gdyż z odmrożonymi nogami będę dla nich tylko przeszkodą. Przeczekałam jakiś czas w lesie, gdy strzały ucichły, skierowałam konia w stronę gajówki. Gdy tam dotarłam, zobaczyłam wystraszone kobiety i dzieci. Początkowo odnosiły się do mnie bardzo nieufnie, ale kiedy przyniosłam z sań nasze zapasy – miód i słoninę, to dzieciaki skwapliwie rzuciły się na robione przeze mnie kanapki obficie smarowane miodem i wtedy dopiero kobiety powiedziały mi, że w oborze jest ranny partyzant i one boją się, żeby *istrebiciele* nie wrócili, bo rano zabrali konia i sanie. Chciałam natychmiast udać się do obory zobaczyć rannego, w jakim stanie się znajduje, ale kobieta zaczęła mnie bardzo prosić, żebym nie szła, bo może ktoś obserwować z lasu. Powiedziała, że lepiej będzie, jak ona pójdzie sama. Napisałam kartkę, krótko przedstawiłam sytuację, w jakiej się znajdujemy, zrobiłam parę kanapek i kobieta poszła z wiadrem do obory. Kiedy wróciła, okazało się, że rannym jest nasz „Urka”, którego ostatnio doprowadziłam do oddziału. Został ranny pod Rowinami i był w grupie „Czarnego”. Grupa „Czarnego” przejeżdżała przed nami przez teren Lasów Kliwickich i też natknęła się na *istrebicieli*. „Czarny” zostawił rannego „Urkę”, zabrał mu konia, żeby szybciej poruszać się w terenie, a rannego zostawił na pastwę losu. Byłam oburzona na „Czarnego”, nigdy nie miałam dobrego mniemania o nim, ale tym razem przebrał miarę.

Po kilku godzinach odpoczynku i nakarmieniu konia, szarówką z gospodynią zapakowałyśmy rannego „Urkę” na sanie i ruszyłam z nim w kierunku Turgiel. „Urce” zawiązałam chustkę na głowę, żeby pozorować, że wiozę chorą siostrę do lekarza, bo jego blond kędzierzawe włosy lepiej pasowały na dziewczynkę. Tak dojechaliśmy bez przeszkód do Turgiel, gdzie zatrzymaliśmy się na odpoczynek u miejscowego nauczyciela (był on w naszej siatce konspiracyjnej). Następnego dnia dotarliśmy do Stefaniszek. Był tam już „Grom”, „Gruby” i „Czarny”, wszyscy się ucieszyli na mój widok. Tylko „Czarny”, gdy dowiedział się, że zabrałam rannego „Urkę” z gajówki w Kliwickich Lasach, był wściekły i usiłował udowodnić Komendantowi, że niepotrzebnie zabrałam „Urkę”. Między innymi powiedział w ten sposób: że najgorzej jak baby się wtrącają w nie swoje sprawy. Nigdy nie byłam niegrzeczną, ale tym razem nie wytrzymałam, naurągałam „Czarnemu” wobec wszystkich obecnych i poszłam do pokoju Baśki Dumnickiej wylać swoje żale. Baśka i wszyscy obecni przyznali mi rację, że zabrałam „Urkę”. Baśka zajęła się rannym, odwiozła go na melinę, bo w Stefaniszkach było już sporo osób. Poza tym po obejrzeniu rany orzekła, że „Urkę” trzeba odwieźć do Wilna pod opiekę lekarską, gdyż rana nie wyglądała najlepiej.

Komendant wysłał Baśkę do Wilna z meldunkiem o naszej obecnej sytuacji. Następnego dnia zjawiła się „Margaryta”, zabrała mnie i Komendanta „Orlicza” do Wilna i ulokowała mnie na ul. Wielkiej (nazwiska tych państwa nie pamiętam) i sprowadziła doktora Jana Żemojtela (nasz lekarz konspiracyjny). Doktor „Jan” orzekł, że moje palce kwalifikują się do amputacji i natychmiast skierował mnie do szpitala Czerwonego Krzyża przy ul. Zygmuntowskiej pod opiekę prof. doktora Michejdy.

W międzyczasie poprosiłam „Margarytę” o skontaktowanie się z moją rodziną, bo od wyjazdu z meldunkiem do oddziału, nie miałam żadnej wiadomości. Okazało się, że moja Mama i moja siostra



Władysław Żemojtel „Jan”

Lucyna po wyjściu z więzienia w Nowowilejce pierwszym transportem w końcu stycznia 1945 r. wyjechały do Białegostoku. W Wilnie pozostał tylko mój Ojciec, który czekał na mój powrót u swego przyjaciela, bo nasze mieszkanie było dalej pod obserwacją NKWD. (...)

*

Po czterdziestu latach odnalazłam „Margarytę”. Adres „Margaryty” przysłał mi „Zawisza” Janusz Hrybacz z Gorzowa. Spotkałyśmy się w Gdańsku 4 XI 1987 r. Radość nasza była ogromna, cieszyłyśmy się jak młode dziewczyny. Opowiadaniom nie było końca. Postanowiłyśmy zorganizować spotkanie naszego oddziału. Na spotkanie w dn. 5 XI 1988 r. w Kościele św. Bartłomieja w Gdańsku przybyło 15 osób. Po mszy zebraliśmy się w Świetlicy. Podjęliśmy uchwałę ufundowania tablicy upamiętniającej nasz oddział ORKO (Oddział Rozpoznawczy Komendy Okręgu). Stroną organizacyjną zajęła się „Margaryta”; w ciągu roku zebraliśmy fundusze i w dn. 6 XI 1989 r. tablica została wmurowana i poświęcona w kościele św. Bartłomieja w Gdańsku. Obecnie przeniesiona do kościoła Marjackiego.

Niedługo cieszyłyśmy się z naszego spotkania w dn. 21 X 1990 r. odeszła od nas po ciężkiej chorobie „Margaryta”; w dn. 24 X 1990 r. pochowaliśmy ją na cmentarzu oliwskim.



Kornel Michejda



Janusz Hrybacz „Zawisza”

KRYSTYNA MACKIEWICZÓWNA-STRACZYCKA „Krystyna”



Córka Aniceta i Janiny, urodziła się w Warszawie 16 maja 1925 r. w środowisku inteligenckim. W latach 1938-1941 uczęszcza do Gimnazjum SS. Nazaretanek w Wilnie.

Działalność konspiracyjną rozpoczyna w marcu 1942 r. w Szarych Szeregach. Kończy kurs szkolenia sanitarnego. Od powstania oddziału partyzanckiego Gracjana Fróga („Szczerbiec”), dowódcy późniejszej 3. Brygady, pracuje na jego rzecz w Wilnie, a następnie pełni obowiązki łączniczki. 15 maja 1944 r. zostaje przeniesiona do ORKO.

Podczas operacji „Ostra Brama” jest współorganizatorką szpitala polowego w Kolonii Wileńskiej. Transportuje rannych z pola bitwy, dostarcza narzędzia chirurgiczne, materiały opatrunkowe, lekarstwa, zdobywa żywność.

Po zdradzie sowieckiej w lipcu 1944 r. unika aresztowania i nadal działa w konspiracji. Pełni obowiązki łączniczki, utrzymując kontakt m.in. z oddziałem „Jura”, pilotuje partyzantów itp.

Zagrożona aresztowaniem 17 kwietnia 1945 r. wyjeżdża do Białegostoku. Po przeniesieniu się do Giżycka w 1946 r. pracuje jako księgowa w Szpitalu Powiatowym - do przejścia na emeryturę.

Jest aktywnym członkiem ŚZZAK; działa w Komisji Historycznej Koła w Kętrzynie.

Odznaczona: Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Niezlomnych, Orderem przelanej Krwi za Ojczyznę, Krzyżem Walki o Niepodległość, Srebrnym Krzyżem Zasługi.

T. 4079/WSK

AK
Wilno

MACKIEWICZ Krystyna
zam. Straczyka
ps. 'Krystyna'

Wypisy ze źródeł (trw. nazwiskowe karty informacyjne)

MACKIEWICZÓWNA -
STRACZYCKA Krystyna

AK
41/110

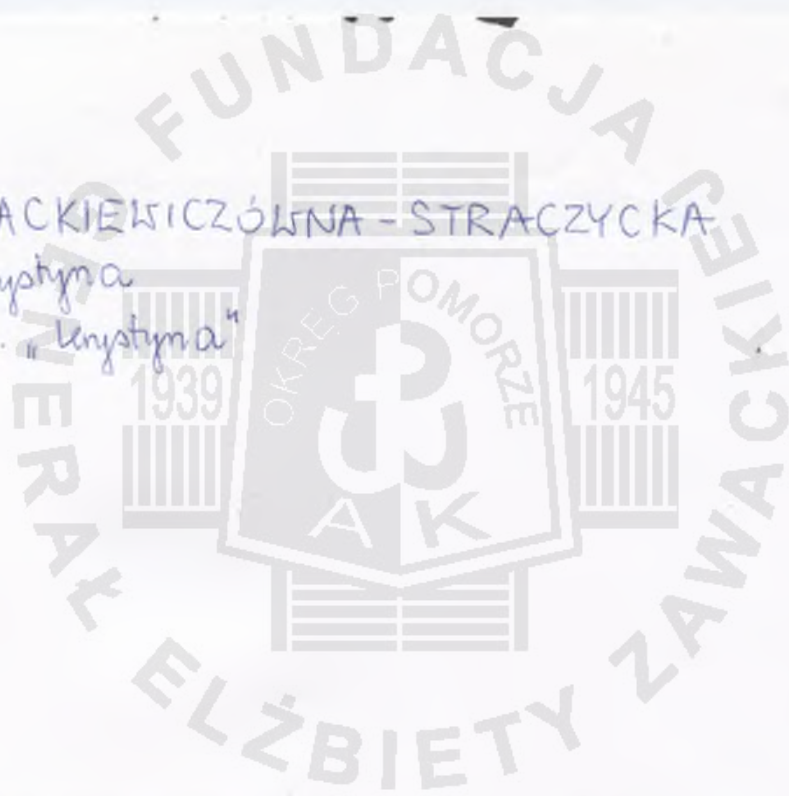
Od 1942 r. Sz. Sz. łączniczka AK w Oddz.
"Szachy" - w Brygada AK.
Marec 1944 - po raz pierwszy w Oddziale na
postój w Małachowcach k/Turysiel.
Działała nieprzerwanie, dzień i noc
1945 r., 17. IV. 1945 - wyjazd w kierunku
Pola postojem. 26. IV. 1946 r. ślub z Teodorem
Straczyckim. Między ślubem wystąpiła
na uroczystości i druga nie została
Kortowsy. Zob. "Dasy - ze wspomnień Krystyny
i Teodora Straczyckich" Katowice 1995.

B.R. 2010

a

All
Wilno

MACKIEWICZÓWNA - STRACZYCKA
Krzyszyna
ps. "Krzyszyna"



EF.04.05

MACKIEKICI Krystyna

